JAGUSIA

JERZY ORWICZ

JAGUSIA

POWIEŚĆ

1928 WARSZAWA 1928

WYDAWNICTWO KSIĘŻY PALLOTYNÓW

Druk. Archidiecezjalna „Polak-Katolik"
Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71.

Co tu długo mówić. Jagusi wcale nie było dobrze w domu. Od kiedy matce się zmarło, a ojciec nie wytrzymał i wziął sobie tę wdowę po kowalu, co się do wszystkich mizdrzyła, nie było już spokoju ani chwili. Jagusia próbowała macosze się nie sprzeciwiać i żyć z nią w zgodzie, ale nijak nie można było uładzić. Bo ta Piotrowa to taka złośnica, że Boże odpuść! O byle co się czepia, dziewczynie życie zatruwa i zawsze zadąsana, a chmurna, niczem gradowa chmura. A już jak spadnie grad obelżywych wyrazów, to końca temu niema. Jagusia, gdy wspomni bywało, jakie to jej matczysko było dobre, a ciche a potulne, jak znosiło pokornie mężowskie po pijanemu urągania, zapłacze nieraz w kąciku, bo teraz to i łzy jej wytykają, jak zbrodnię, taka już nastała sieroca dola.

Ojciec jakby zgłupiał całkiem na stare lata, za swoją Marteczką świata nie widzi i ciągiem ją broni, a rodzonej córce nigdy słuszności nie przyzna.

Jagusi teraz wszystko obmierzło i domowa zagroda i warzywny ogródek, i te malwy koło okien, które sama wyhodowała. Ani się przystroić, ani zaśpiewać piosenkę jakoś się nie chce, taki świat wydaje się szary i pustką tchnie.

Nie wytrzymam dłużej, rzekła sobie pewnego razu, po jakiejś gwałtownej scenie z macochą. Niech tam sobie sami radzom kole tej gospodarki, albo i wynajmą kogo do pomocy, pójdę do obcych ludzi, do służby się zgodzę i będę miała grosz własny, zarobiony. Tyle dziewcząt do miasta jedzie i daje sobie radę, czy ja gorsza od nich i do pracy niezdatna? O jej! Robota mi się w ręku pali, byleby tylko nikt nie wypominał i nie dokuczał, jak ta Marteczka zatracona. Szkoda mi jeno jałóweczki naszej bialuchnej, co tak za mną głowę obraca, jak ta koteczka i głos mój rozpozna zdaleka. I szkoda trocha Władka Sędziuka, bo on to całkiem inszy od tamtych chłopaków, co się do każdej zalecają, a przyjdzie co do czego, to wykręci się na pięcie i wykpi jeszcze i wyśmieje. A Władek zupełnie co innego. On ci i do roboty pierwszy i do nauki się garnie, nie to żeby był przeuczony, ale mądrość już ma taką przyrodzoną, że co powie, to dobrze wychodzi. Włosy ma ciemne i brwi gęste, rzęsy czarne, a oczy jasne, jaśniutkie, a takie jakieś poczciwe i przyjemne, że popatrzeć miło. Czasem, gdy widzi, że Jagusia zapłakana, podejdzie do niej i powiada:

— Nic to, nie martw się, przeminie. Wiadomo macocha nie matka, rodzonej nikt nie zastąpi, ale poco się trapić? Każdy wie, że nie twoja, a jej wina. Westchnij — powiada — do Boga, zmów Zdrowaśkę, a zaraz ci ulży.

I Jagusi po tych słowach jakby kto miodem po sercu posmarował, tak jakoś odrazu dobrze i spokojnie

na duszy, że to niby nic nie powiedział, a zrozumiał co jej dolega i po chrześcijańsku pocieszył.

Jagusia czuła, że Władek ze wszystkich dziewcząt ją wyróżnia, choć nigdy wprost jej tego nie powiedział. I ona też o Władku myślała zawsze jakby o kimś bliskim, i nieraz, gdy przymknęła powieki, widziała wyraźnie te jego dobre, szare oczy jakby tuż przed sobą.

Ale poco sobie głowę zawracać po próżnicy? Władek nie na swojem gospodarzy, a u wujka swego Mochnickiego, że to niby ten Mochnicki jego nieboszczki matki brat rodzony i od maleńkości Władka wychował. Ale kutwa stary nie pozwoliłby Władkowi żenić się z dziewuchą, nie mającą grosza przy duszy, bo macocha nie dopuści, żeby ociec jej co wydzielił, tak więc niema co i mówić o tem, żeby się pobrać mogli. Niema innej rady, trza iść do miasta i szukać służby.

Już nawet mówiła Janowa, co to jest ojca kumą, żeby Jagusia zgodziła się do jednej bardzo porządnej pani ze wsi, co dla nauki dzieci wyjechała do Warszawy i szuka teraz jakiej porządnej dziewczyny ze swoich niby stron. Wzięłaby pewnikiem Jagusię, jeśli ją Janowa zachwali.

Janowej, wiadomo, trzeba będzie zato kupić fartuch albo chustkę na głowę w podarunku.

Tak sobie rozważała Jagusia i jednego pięknego poranku spakowała swój węzełek i z Janową pojechała do Warszawy.

Podróż bawiła ją jak dziecko, które wyrwało się ze szkoły na swobodę. Rozglądała się po okolicy, pytała co chwila o wszystko widziane, zwłaszcza intereso-

wały ją kościoły, majaczące w oddali, chciałaby każdy z nich zobaczyć zbliska i cichutko odmawiała pacierze na intencję szczęśliwego w mieście pobytu.

Nieboszczka matka obudziła w Jagusi pobożność szczerą. Dziewczyna nie wypełniała obowiązków religijnych, jak wiele jej rówieśniczek, to jest jedynie dlatego, że tak czynią inni, że tak czynić wypada. Dla niej każda bytność w kościele była istotnem świętem dla duszy, wracała zawsze pokrzepiona, przejęta jeszcze gorętszą wiarą, jakby zbliżona do Boga przez wzniesienie do nieba myśli u Jego ołtarzy.

Czyniła sobie różne zacne postanowienia i drobne samoofiary na intencję dusz czyścowych, gdyż jej serce, wrażliwe na każdą niedolę, bolało nad losem nieszczęśliwych i modliła się zawsze za tych „zapomnianych, za których nikt się nie modli".

Kiedyś powiedziała o tem Władkowi. Spojrzał na nią, zadumał się chwilę, aż jej się nijako zrobiło. Myślała: może zadrwi, że obchodzą ją bardziej umarli, niż żywi, ale on popatrzył zaraz potem na nią takim wzrobiem zdumionym rychtyg, jakby miał przed sobą anioła, albo coś całkiem niezwykłego i rzekł z powagą:

— Jaguśka, dziękuj Bogu, żeś jest taką, jaką jesteś.

A po chwili dodał:

— I pamiętaj, żebyś się tam wśród mieszczuchów nie popsuła, bo by mi strasznie, strasznie boleśno to było...

Mówili potem jeszcze o projektowanym wyjeździe, że niby niema inszej rady, ale, że jak Bóg da doczekać

wiosny, może jakoś się przemieni i z wujem się sprawy ułoży... żeby na jesieni stanąć razem z panną Jagnieszką u ołtarza.

Jagusi aż serce podskoczyło z radości, że Władek tak całkiem na serjo zamyśla ją brać.

— A no zobaczymy — odpowiedziała wymijająco i spuściła oczy, żeby ta radość niezmierna nie błysnęła naraz z jej spojrzenia. Tylko rumieniec oblał jej twarz po same uszy, taki ładny, zorzany rumieniec, który czerwoną łuną okrasił zdrowiem błyszczące policzki.

Przypomniała sobie teraz tę krótką, ale ważną rozmowę i westchnęła zcicha. Żegnając się z nią Władek nie poprosił nawet, aby o nim pamiętała; snać uważał to za rzecz pewną, że pamiętać będzie i nie zmieni się dla niego, tak jak i on dla niej.

Nie było łez, przysiąg, zaklęć miłosnych przy pożegnaniu, ale szczera wiara, że Bóg im dopomoże połączyć się na zawsze, wobec tego nie straszyła ich rozłąka, przecież mają jeszcze przed sobą całe życie wspólne do przebycia.

Jagusia po raz pierwszy miała zręczność przyjrzeć się wielkiemu miastu. Dotąd znała tylko Sokoły, gdzie bywała na jarmarkach, a raz jeden jeździła koleją z Łap do Białegostoku, a że to było na jesieni, podczas szarugi, wcale się jej tam nie podobało. Lubiła wioskę rodzinną, czuła się w niej swojsko i trochę miała stracha, jak to tam będzie w stolicy, czy aby nie zabłądzi gdzie, gdy już Janowa odjedzie. Ale ojcowa kuma opowiadała jej długo i szeroko o dziwach wielkiego miasta, o tych maszynach bez koni, co przelatują

z piskiem i wizgiem po ulicach, a często gęsto przejeżdżają ludzi; o wielkich, długich karocach, w których moc ludzisków się tłoczy i ciągiem tak jeżdżą sobie to w tę, to w ową stronę po kilka kilometrów za dwadzieścia groszy, które taki pan „chonduktor“ ściąga od każdego z osobna i nikomu nie przepuści.

Jagusia słuchała uważnie i bawiło ją wielce, że przebywać ma w tym barwnym, wiecznie ruchliwym tłumie miejskim, tak jakby ciągle na jarmarku lub odpuście.

Oczy Jagusi rozbłysły ciekawością i zdumieniem, gdy wysiadając z pociągu ujrzała niezliczoną ilość świateł i ów ruch zawrotny dokoła siebie, którego, pomimo opowiadań Janowej, nie mogła sobie nawet w drobnej części wyobrazić, aż do chwili, gdy na własne oczy ujrzała co się tu dzieje, jak ludzie pędzą niesamowicie, jakby ich gnała jakaś siła, potrącając się, śpiesząc, niby na pożar.

Czyżby tak zawsze, czy tylko wyjątkowo w ten wieczór sobotni przed świętem takie zamieszanie? — pomyślała Jagusia i bała się już pytać towarzyszki, zakłopotanej ogromnie w tej chwili wyładowaniem koszów, koszyczków, worków i woreczków przywiezionych z zapasami do sprzedania. Jagusia chwyciła w lot najcięższe, aby dopomóc Janowej z wyniesieniem rzeczy na platformę.

— Pilnuj, aby kto czego nie schwycił, — przestrzegała zadyszana Janowa. — Niedawno pół kopy jajek zawiązanych w chustkę porwał mi jakiś nicpoń. Cholera! Ofiarował się zanieść za mną koszyki i w dro-

dze jajka zwędził. Tacy to tu są ludzie niepewni. Rychtyg cyganie.

— Nie będziemy brały teraz nikogo do pomocy— zawołała Jagusia — albo to we dwie nie damy rady?

I mówiąc to, zarzuciła sobie na plecy duży wór ziemniaków, chwyciła w obie ręce węzełki z masłem, z jajkami i serem, wobec czego Janowej pozostał tylko jeden niewielki tobołek do dźwigania.

— Zuch dziewczyna, — szepnęła kuma uradowana, — tu niezbyt daleko do mojej znajomej, gdzie przenocujemy, a jutro rano na służbę ciebię zaprowadzę.

Poszły żwawo chodnikiem, przepychając się pomiędzy tłumem. Urągano im niekiedy, gdy węzełki zawadziły o przechodnia, ale Jagusia niewiele sobie robiła z tego i w skupieniu dążyła przed siebie, nie rozglądając się nawet dokoła.

Czuła się teraz czemś tak drobnem i znikomem, jak ziarnko piasku wichrem gnane.

— Tyle ludzi, tyle ludzie. O la Boga! — myślała sobie. I każdy pędzi i każdemu pilno. U nas to ino na pożar tak lecom.

Nie mówiły nic z sobą, bo Janowa zadyszana nie miał ochoty do rozmowy, a Jagusi już ręce omdlały od niesionego ciężaru. Doszły wreszcie do domu, w którym miały zanocować. Janowa pobiegła naprzód, żeby uprzedzić o przyjeździe, a Jagusi kazała zdjąć z pleców worek i czekać w bramie.

Przyglądali się hożej dziewusze chłopcy przelatujący co chwila przez otwartą furtkę, zwłaszcza smukły szatyn, syn tapicera z tejże kamienicy, który po skończo-

nej robocie lubił wystawać przed bramą, oczekując niby na kolegów, co chwila przesuwał się przed Jagusią, jakby chcąc znaleźć pretekst do zagadania, ale dziewczyna odwracała oczy i nasunęła mocno chustkę na głowę, nie okazując chęci zawiązania znajomości.

— Jakaś niedorajda! — szepnął przez zęby, ale korciło go zajrzeć jej zbliska w oczy.

— Czy to może ze wsi jabłka na sprzedaż? — zapytał wreszcie, przysunąwszy się do worka i macając go zlekka.

Ale Jagusia przestraszona opowiadaniem Janowej o schwytanym tobołku, zakryła sobą worek i odrzekła opryskliwie:

— Nic nikomu do tego, co je w tym worku, czy mąka, czy kartofle, czy jabłka, czy pokrzywa dla ciekawych.

— Pokrzywa... — powtórzył chłopak wesoło. — No! no! no! To chyba raki w pokrzywie?

Jagusia odwróciła się, zbywając go pogardliwem milczeniem. Ale chłopak nie dawał za wygrane.

— Nie musi to być ciężki ten worek — rzekł po chwili — boby mu panienka nie dała rady.

To mówiąc znów zbliżył się do dziewczyny.

W oczach jej błysło oburzenie. Z niepokojem spojrzała w stronę schodów, wiodących do sutereny, na których znikła Janowa.

— Panienka na kogoś czeka?

Milczenie.

Błysk oburzenia nadał oczom Jagusi tyle mocy

i wyrazu, że młokos nie myślał się cofać i koniecznie chciał wciągnąć dziewczynę do rozmowy.

— Pewno zdaleka? — rzucił od niechcenia.

Milczenie.

— A czegóż to taka hardość? U nas, w mieście, tak nie można, — ciągnął z ironicznym nieco uśmieszkiem. Zwykło się odpowiadać na pytania. Nie jestem żaden andrus z nad Wisły, mamy tu swój warsztat w tym domu.

— To i miejcie sobie na zdrowie. Mnie tam nic do tego — chciała odpowiedzieć Jagusia, ale zmilczała.

Młodzik przybrał wyraz tkliwego zainteresowania.

— A panience pewnie Mania na imię? Czy zgadłem?

Milczenie.

Jagusia przygryzła usta. Złość ją wzięła.

— Jeżeli jeszcze powie słowo, to go lunę — powiedziała sobie w duchu.

— Taka ładna dziewuszka, a milczy jak mruk — szepnął, podsuwając się do samego ucha.

— Ejże! Niech odejdzie pókim dobra, bo potrafię tak się odciąć, że pięty tylko będzie wam widać!

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się rozbawiony tem niespodzianem wystąpieniem — to już sam odejdę, jeśli w panience taka okrutność utajona.

Ale Jagusia, uspokojona usunięciem się natręta, puściła wodze zagniewaniu.

Jeżeli wszystkie mieszczuchy tak nie dają porządnej dziewczynie spokoju, to dziękuję, — mówiła

jakby do siebie — lepiej wracać do domu, niż tu się z każdym użerać.

— Jagusia, Jagusia. A chodź już tu na dół. Kartofle bierz na plecy i duchem leć. Nie wysoko. Drugie drzwi na lewo! —zabrzmiał głos Janowej z głębi ciemnej czeluści.

— Aha! Już wiem! Agnieszka na imię. I nie jabłka i nie raki, a kartofle w worku — żartował młodzik. Teraz nie obędzie się bez mojej pomocy. No raz, dwa, trzy, było nie było, dopomogę znieść ten wór do piwnicy.

Nie czekając zachęty Jagusi, zręcznym ruchem zarzucił sobie worek na plecy i zbiegł szybko po schodach na dół, a Jagusia, schwyciwszy mniejsze węzełki, pośpieszyła za nim, by coprędzej dostać się już do kumy.

— Wszelki duch... Kto idzie z tobą? — zawołała Janowa, przerażona widokiem draba, który natknął się na nią w półmrocznej sieni.

— Ach, mocno przepraszam, chciałem pomóc pannie Agnieszce — rzekł chłopak rezolutnie, nie okazując wcale po sobie jak się zawiódł srodze, liczył, że krótkie sam na sam w ciemności, pozwoli mu skraść całusa tej hardej dziewczynie.

Janowa zmierzyła go niedowierzającem spojrzeniem, podejrzewając chęć zrabowania jakiego tobołka, jak wówczas na dworcu.

— A cóż to, nie mogłaś sama dać z tem rady? — rzekła dość opryskliwie, zwracając się do Jagusi. — Już bez te kilka minutek i znajomość jakąś zawarła?

To rzekłszy, pociągnęła za sobą Jagusię w głąb,

a młodzian, jak niepyszny, cofnął się, mocno niezadowolony z takiego obrotu rzeczy.

Jagusia, ledwie odetchąwszy trochę, rozglądała się po izbie, a Janowa mówiła gderliwie.

— A to jakiś cwaniak. Skąd ci się nawinął?

— Uczepił się, jak pijany płota, kiedy stałam w bramie — odrzekła Jagusia, wzruszając ramionami.

— Toć tutejszy, Tomek Wigoń, tapicerski syn. Poznałam go po głosie — mruknęła jakaś niewiasta, leżąca na łóżku pod pierzyną. — To niezgorszy chłopak, tylko się wciąż za dziewczynami ugania. Ojciec ma z nim dużo kramu, bo taki trzepowaty, że Boże uchowaj.

— A to właśnie jest Jagusia co wam mówiłam, że ze mną przyjechała; na służbę ma wstąpić zaraz, a już dziś jakoś tu się przymościmy razem.

— Nie szkodzi, nie szkodzi! Rozgośćcie się jak możecie. U mnie tu ubogo, ale jak mówią, czem chata bogata, tem rada. Już trzeci rok leżeć muszę w łóżku jako ta kłoda, zaraz weselej, jeśli jest z kim pogadać. Przyjdzie Franek, to wam wszystko naładzi.

— Biedujecie z tym choróbskiem, moja Szymonowo. Myślałam że wam się trochę polepszyło, ale nie całkiem, jak widzę, — rzekła Janowa ze współczuciem, podchodząc do chorej i poprawiając jej osuniętą poduszkę.

— Od kiedy mojej kochanej Bronki nie stało, świat mi niemiły i jakby mi nogi podkosiło odrazu — użalała się kobiecina. — Złoto było nie dziewczyna, ale bez niej ciężko mi teraz żyć. O, jak ciężko!... Tylko Bóg łaskaw że mi dał takiego dobrego syna. Franek cały

dzień pracuje w fabryce, ale wszystko, co zarobi oddaje, żeby mi na niczem nie zbywało. I sam przyrządza wieczorem jedzenie dla siebie i dla mnie, bo cóż, wiadomo, kaleka tylko ciężarem jestem dla niego. Ale on nigdy ani słowa złego mi nie powie i dba o mnie. Niech go Bóg Najwyższy błogosławi...

Jagusi serce ścisnęło się i pomyślała sobie:

— Jakże ja mam prawo wyrzekać na swoje życie, kiedy mam młodość, zdrowie i możność pracy. Bóg łaskaw na mnie, dziękować Mu tylko bez końca, że tyle dał, co dał i basta!

Tą myślą wzmocniona na duchu, Jagusia poczęła się krzątać około urządzenia wieczerzy z przywiezionych zapasów. Zrobiła wnet jajecznicę i ugotowała kaszę do mleka.

Szymonowa nie mogła się dość nachwalić tych przysmaków, ale co chwila spoglądała niespokojnie na wskazówki wiszącego przed nią zegara, dziwiło ją bowiem, że Franka dotąd nie widać, a miał u kupca wziąć mąki na kluchy, bo ani szczypty niema w domu.

— Co się z nim stało? Czy nie jaka bójka w fabryce? Już raz musiał stawać na świadka gdy się tam dwóch za czuby wzięło. Chwalić Boga nigdy jeszcze nie był sam do żadnej zwady wplątany. Choć te komunisty około fabrycznych, to jak te kruki na żerowisku się kręcą. Skaranie Boże z takim narodem! Niby udają, że chcą dobra dla wszystkich ludzi, ale u nich to dobro, to znaczy innym wydrzeć, a sobie wziąć. Ale mój Franek inaczej patrzy na te sprawy. Chcesz mieć coś to zarób sobie, powiada, a drugim głowy nie zawracaj. Poczci-

we chłopczysko z kościami. Tacy niechby się na kamieniu rodzili.

Tak jak mój Władek — pomyślała z dumą Jagusia i uśmiechnęła się wesoło, wewnętrzną radością promienna.

Blask ognia padał w tej chwili na jej twarz zarumienioną i cała postać miała w sobie wdzięk młodości i wesela.

— Wcale niczego ta wasza Jagusia, — szepnęła Szymonowa pochylając ku Janowej swą twarz zbiedzoną. Żeby jej tylko tu w mieście nie zepsuli, bo o to łatwo. Nic nie uszanują ludzie bez czci i wiary. Co niektórzy całkiem zdziczałe mają dusze! Takie pogaństwo zaprowadziło się wśród młodych, że aż ha!

— Ja tam się o nią nie boję — odrzekła Janowa— do porządnych ludziów ją nastręczyłam na służbę, przykaże jeszcze, żeby się z byle jakiemi dziewczynami nie zadawała, bo to najgorzej jedna drugą na złe naprowadza, a ona z porządnej, statecznej rodziny jest. Jeno się ojczysko niepotrzebnie na stare lata ożeniło i tak mało pomału macocha wycisnęła z domu jego córkę rodzoną. Wiadomo macocha! Chce się samej panować i dziewczyny ojcowiznę zagarnąć.

Jagusia westchnęła słysząc te objaśnienia i nawet oczy otarła rękawem, bo jej na płacz się zbierało nad swą dolą sierocą.

W tej chwili drzwi skrzypnęły i wszedł Franek. Z miną mocno zdziwioną spotkał się ze wzrokiem załzawionym dziewczyny, ale dostrzegłszy Janową zawiniętą w szarą chustę, odrazu zrozumiał kto i skąd do

nich przybył, Janowa bowiem zawsze zatrzymywała się u jego matki, gdy jej wypadło bywać w Warszawie. Znały się jeszcze z panieńskich czasów i lubiły się wzajemnie.

— A oto mój syneczek — odezwała się chora — moje szczęście jedyne, dodała smętnie, a to Agnieszka Walczakówna, córka Piotra z Brzozowej Wólki, wskazała oczyma na Jagusię. Przyjechała tu na służbę.

Franek skłonił się, otarł spocone czoło i rzuciwszy okiem na nieuprzątnięte jeszcze po jedzeniu talerze, rzekł z uśmiechem zadowolenia:

— To już, jak widzę matka po wieczerzy, a nas zatrzymali dziś dłużej przy wypłacie. Nie miałem nawet czasu kupić coś do domu i głowiłem się, jak to będzie z wieczornym posiłkiem. Miałem stąd jeszcze skoczyć do sklepiku od tyłu, bo już od frontu wszystko pozamykane.

— Jest tu i dla ciebie, Franeczku, goście przyszli i jeszcze swojem poczęstowali. Bóg zapłać za podarunek.

To rzekłszy uśmiechnęła się chora swym miłym, dobrotliwym uśmiechem, jakby nie z tego świata i Jagusi jakoś słodko zrobiło się na sercu, patrząc jak syn pochylił się ku matce i do niej coś przemawiał półgłosem z widocznym szacunkiem i synowskim uczuciem, a potem zbliżył się do niej i do Janowej i przeprosił, że na chwilę pozostać muszą w ciemności, gdyż lampa nie nalana i lada chwila zgaśnie. Następnie zapalił mały ogarek i przy jego świetle nalał lampkę ku-

chenną, szkło wytarł starannie i rozjaśniło się wnet w małej izdebce.

— Pójdę przenocować u tapicera — rzekł Franek, biorąc czapkę — to będzie tu wygodniej wam się przespać, a ja u Tomasza jak w domu.

— Ten twój Tomek już się do Jagusi począł zalecać. Ledwie przyszła z kolei i stanęła w bramie, już ją wypatrzył i chciał koniecznie zawrzeć znajomość.

— Matka się do niego uprzedza, a to dobry chłopak, — odparł Franek. — Zawsze uprzejmy i chętny do zrobienia przysługi.

— Wiadomo. I teraz pomógł znieść worek kartofli, choć go nikt o to nie prosił, ale dlatego, że mu nowa twarzyczka jakoś do serca przypadła.

Franek spojrzał badawczo - pytającym wzrokiem na Jagusię, aż się zarumieniła po same białka. Widocznie z egzaminu tego wyszła zwycięsko, gdyż Franek machnął tylko ręką z pobłażliwym uśmiechem i rzekł wesoło:

— Otrzaska się panna Agnieszka z mieszczuchami i zobaczy, że nie taki djabeł straszny, jak go malują, byleby ich trzymać na odległości, nie wdawać się z pierwszym lepszym w próżne gadaniny i nie wierzyć czułym słówkom, jakie sypać będą jak z rękawa.

— A i pewno—dorzuciła Janowa —młoda dziewczyna, to jak szkło. Jagusia musi też dbać sama o siebie jak się tu ostanie na tym kamiennym bruku. Powiadam to jej wciąż, to nie nasza wioska, gdzie każdy wie jeden o drugim, a tu w mieścisku, nikomu nic do tego, czy to Jagusia niby z Brzozowej Wólki, czy tam

z innej wioski, czy córka Piotra czy Pawła, czy Walentego — i z porządnej rodziny pochodząca, oni tylko patrzą, czy ładnie oczkiem mruga i rosła jak sosenka w boru. A łakome są na dziewczątka wiejskie Boże zmiłuj się! Już ja coś wiem o tem i naopędzać się nie mogłam od natrętników, kiedy młodziuteńką bądąc służyłam u matki tej pani, do której teraz Jagusię naraiłam. Tam będzie miała złote życie bo bardzo porządne ludzie som.

— A niech też czasem, jak będzie mieć wychodne w święto, i do nas przyleci. Zawsze choć niewesoło z kaleką posiedzieć, ale niby będzie jakiś cel spaceru i dobry uczynek mnie niedołężną nawiedzić. Taka hoża dziewuszka to jakby promień słońca wpadnie do mojej nory.

— A jużci przyjdę, jak tylko utrafię, bo pewno nie rychło te wszystkie ulice spamiętam —szepnęła Jagusia zawstydzona, że się tak długo o niej mówi.

— Bardzo prosimy, bardzo prosimy, — dorzucił Franek uprzejmie — a tymczasem życzę dobrej nocy po podróży.

Ucałował matkę, skłonił się gościom, raz jeszcze od progu rzucił okiem na Jagusię i spotkawszy jej jasne wejrzenie uśmiechnął się życzliwie.

Jagusia poszła nazajutrz z Janową do kościoła św. Florjana, a następnie do pani Karnickiej, u której miała pozostać w służbie, ale okazało się, że Jagusię przeznacza matka swej córce zamężnej i do niej skierowała kobiety.

Podobała się Jagusi młoda pani o czarnych, głębokich oczach bardzo szczupła i wiotka, owinięta długą futrzaną etolą, mówiąca dźwięcznym, ale cichym i jakby stłumionym głosem.

— Trochę się obawiam, jak to będzie z gotowaniem — rzekła zwracając się do Jagusi — bo się wcale nie znam na kuchni i nauczyć ją nie potrafię, chyba czytać będę z książki jak się co robi. Teraz jadam u matki, ale gdy przyjdzie zima trudno mi będzie chodzić na obiady; może się Jagusia tymczasem wprawi przy Marysi, która służy u mamy.

— Postaram się wszystko zrobić jak pani każe — szepnęła Jagusia.

— A raniutko będzie mogła codzień pójść do kościoła? — pytała Janowa, starając się ułatwić porozumienie.

— Codzień? — powtórzyła pani Ida z pewnem zdumieniem. — W niedziele i święta naturalnie, ale znów codziennie, czy to konieczne?

— Powróci zawsze na czas, zanim pani wstanie i poda pani śniadanie o jakiej pani zechce godzinie. Pewno o ósmej.

— Nie, nigdy przed dziewiątą się nie budzę i piję kawę w łóżku — odrzekła młoda kobieta z uśmiechem.

— O! to będę miała czas pójść do kościoła i wszystko narychtować — zawołała Jagusia uradowana— jeno muszę wiedzieć, gdzie się co kupuje, żeby pani dogodzić.

— Nie jestem kapryśna, moja Jagusiu — odrzekła pani Ida. — Mam nadzieję, że będziemy żyły w zgo-

dzie. Od kiedy zostałam sama — dodała z lekkiem westchnieniem — nigdy prawie nie wychodzę wieczorami i do mnie mało kto zagląda. Idzie mi tylko o to, żeby mieć dziewczynę uczciwą nie latawca, nie przyjmującą gości u siebie, lubiącą porządek i nie zuchwałą. Oto wszystkie moje wymagania.

Janowa pochwyciła westchnienie Idalji i westchnąwszy również, pokiwała głową zacisnęła mocno chustkę na piersiach i zapytała półgłosem:

— To już z panem Konstantym całkiem się rozeszli?

Ida skinęła głową w milczeniu.

— Chryste Panie! Takie kochanie! Taka była para dobrana, jak w korcu maku. Jakże tak paniusia znielubiła odrazu takiego ślicznego chłopca?

Ida uśmiechnęła się blado.

— A no, bywa tak, moja Janowo, że przed ślubem dobry jak anioł a po ślubie już nie dba o żonę i za innemi się rozgląda...

— Oj, bywa to, bywa paniusieczko złota, takie są w mieście zbytniki. Jaka czepicha się uweźmie i głowę takiemu zawróci. Ale może to tylko takie ludzkie bajania, a panienusia zaraz do serca bierze...

Pochyliła się do ręki Idy, którą dzieckiem jeszcze znała i miała dla niej sentyment szczery. Ida cofnęła rękę, musnęła ustawi głowę Janowej.

— O tak, tak, moja dobra Janowo, nie warto nic brać do serca, ale jakoś nie można zapomnieć ani przebaczyć, bo to boli...

Zamilkła nagle, łzy zakręciły się jej w oczach i widocznie chcąc położyć koniec przykrej dla siebie rozmowie, poczęła objaśniać Jagusi jakieś drobne szczegóły gospodarskie:

— Oto jest dzbanek na mleko, a tu w kredensie są szuflady na srebra stołowe, a tu, patrz, są rozłożone moje farby i paleta, tego ruszać nie wolno, już ja z tem sama porządek zrobię, a ciebie nauczę, jak myć pędzle — mówiła Ida, stanąwszy przed stalugę, na której stał rozpoczęty obraz przedstawiający białą chryzantemę.

— O Jezu! Jaki smutny kwiat! — szepnęła Jagusia, spozierając zdumiona to na doniczkę ustawioną przed narzuconą malowniczo żółtą draperją, to znów na kontury wymalowanego kwiatu.

Ida spojrzała na nią przenikliwie i odrzekła z uśmiechem.

— Masz słuszność. Smutny kwiat... Ale ja go teraz rozumiem lepiej, niż nasze wiejskie maki, chabry i kaczeńce, co zda się chychoczą, pławiąc się w słońcu. To kwiat, mający w sobie majestat smutku i cierpienia — dodała jakby do siebie.

Janowa i Jagusia westchnęły, jakby powiało na nich smętkiem, ukrytym w słowach młodej kobiety.

— To już ja teraz pójdę, — rzekła Janowa po chwilowem milczeniu. — Zajdę jeszcze do starszej pani wedle tych jajek, masła i sera a Jagusia niech tu ostanie. Jeszcze ją nawiedzę przed odjazdem i rzeczy jej przyniosę.

Jagusi zrobiło się dziwnie przykro na myśl, że Janowa odchodzi, że oto rozpoczyna się już ów okres tak

upragnionej przez nią służby w mieście, w którem ma pozostać samiutka jedna z tą smutną panią. Pożałowała w tej chwili gorąco rodzinnej wioski, ojcowskiej chałupy, jałoszki, malw, tego całego otoczenia, do którego od dzieciństwa nawykła. Nawet Marteczka nie wydawała się jej teraz nieznośną i dokuczliwą... A Władek? Jakże on daleko, daleko. Może i napisze kiedy, jak się dowie od Janowej dokąd listy przysyłać. ale Jagusia słabo czytać umie; będzie musiała prosić chyba, żeby jej kto to pisanie przeczytał i odpisał za nią.

Wszystkie te myśli lotem błyskawicy przemknęły w jej głowie.

— A możeby ja także poszła z wami po te swoje rzeczy — szepnęła, tłumiąc łzy ściskające jej gardło.

— Nie potrzeba — już ja sama to zrobię, albo bez Franka przyślę, a ty weź się zaraz do roboty, pozamiataj, pouprzątaj to ci raźniej będzie. Już ja ci powiadam, że te nasze panie to czyste złoto, zwykniesz prędko, a ja tu może na drugi tydzień przyjadę, to będziesz wiedziała jak tam i co w domu... Bywaj zdrowa staraj się panienusi dogodzić i pocieszyć.

— Pocieszyć?... To już zadużo wymagacie od Jagusi — zaśmiała się Ida — ale ona mi się bardzo podoba i mam nadzieję, że będziemy żyć w zgodzie. Tak mi jakoś od niej zapachniało świeżą łąką i skoszonem sianem... I takie poczciwe jasne ma wejrzenie... Dziękuję wam Janowo, bardzo dziękuję za tę dziewuszkę.

Jagusi jakoś ulżyło na sercu, gdy usłyszała te słowa.

Dobra pani, niema co mówić, pomyślała sobie i już spokojnie pożegnała Janową, której bardzo śpieszno był, gdyż jeszcze i połowy nie zrobiła tego, co zamierzała.

Pozostawszy samą, Jagusia otarła łzę skrycie, przeżegnała się, zmówiła krótką modlitewkę do Najświętszej Panienki i zabrała się do uprzątania kuchenki. Pani Ida nauczyła ją jak się gaz zapala i gasi a także jak elektryczność w mig rozjaśnia pokoje i jak odkurzaczem czyści się meble. Jagusia podziwiała te nadzwyczajności w milczeniu, zachwyt malował się tylko w szeroko otwartych oczach, a pani Iza znajdowała wielką przyjemność w tem jej niemem zdumieniu.

— O obiedzie dziś nie potrzebujemy myśleć — rzekła wreszcie — pójdziemy dziś wcześniej do mamy, a tam zobaczysz jak Marysia gotuje i ona ci wskaże gdzie masz kupować różne produkta. Mam wrażenie, że jesteś pojętna i prędko się nauczysz przy niej, jak się przyrządza różne przysmaki.

Zanim jeszcze wyszły z domu już Janowa dostarczyła pościel i skromne sukienki Jagusi. Dziewczyna urządziła swe leże w małej alkowie przy kuchni, bardzo zadowolona, że będzie miała własny kącik.

Pani Ida tymczasem zasiadła przed sztalugą i malowała swe chryzantemy, zapominając zda się o całym świecie.

Małżeństwo pani Idy trwało zaledwie kilka miesięcy. Kocia kochała bardzo i on również odpłacał jej szczerem zdawało się uczuciem, ale wspólne pożycie

zamiast zbliżać, poczęło wywoływać różne drobne starcia.

Oboje byli nieustępliwi. Ida, nieco rozkapryszona jedynaczka, pragnęła, aby mąż był wciąż na jej usługach, chodził z nią codziennie na spacery, do teatru i jaknajwięcej czasu jej poświęcał. Konstanty miał jeszcze swe kawalerskie narowy, lubił przesiadywać w cukierni z kolegami, uwielbiał wyścigi i sporty, które zajmowały mu wiele czasu. Bagatelizował żądania żonusi; stosunek jego do niej był pozornie bardzo poprawny, ale nie przechodził poza granice wymagań towarzyskich. Kocio nie lubił być skrępowany obowiązkami rodzinnemi. Składanie wspólnych wizyt, przebywanie wieczorami w domu, wydawało mu się archaizmem zupełnie nie na czasie. Nie lubił, gdy go żona pytała, gdzie był, co robił, z kim przebywał?

— Zabawna jesteś, Dala — mówił nieraz, wzruszając ramionami — wypytujesz mię, jak malca mentor gderliwy. Co ci z tego przyjdzie, gdy ci powiem, że byłem na kolacji w Gastronomji lub w Bristolu? Mam różne interesa, różne kombinacje finansowe, muszę obcować z rozmaitymi ludźmi. Nie wszędzie i nie zawsze można chodzić z kobietą, zwłaszcza z własną żoną — dodawał z filuternym uśmiechem, wiedział bowiem, że Ida jest ogromnie o niego zazdrosną.

Ta zabawa w drażnienie ambicji żony sprawiała mu specjalną przyjemność.

Uważał ją za cacko, którem można się bawić, wywołując różne nastroje. Lubił tę chmurkę na jej czole, ściągnięcie brwi i spojrzenie niespokojne, z jakiem słu-

chała, gdy mówił o swych licznych podbojach z kawalerskich czasów.

A teraz?... zdawały się pytać wyraziste oczy, czy teraz też jest tak samo?...

Ale Kocio zasklepiał się w głuchem milczeniu, gdy mowa była o teraźniejszości. Dawał jednak do poznania, że jest stale tryumfatorem wśród płci pięknej, że gdyby tylko chciał, to płomiennooka pani Lili, fotogeniczna Irena, urocza Maryluchna i wiele, wiele innych, nie oparłyby się jego zwycięskiemu czarowi i że go zanudzają swą natrętną zalotnością.

Stosownie do epizodycznych opowieści i napomknień Konstantego, pani Ida boczyła się przy spotkaniu z Lilą, Irenką, Maryluchną, widząc w nich niebezpieczne istoty, dybiące na jej własność. Mówiła przy nich z podnieceniem o niegodziwości kobiet, odbierających żonom mężów. Częstokroć nie rozumiano dobrze, dlaczego się tak przejmuje, bo wszystkie te przechwałki Kocia były zmyślone, jedynie w celu poirytowania Idy. W każdym razie osiągały swój cel: młoda kobieta czuła się coraz bardziej nieszczęśliwa, pokrzywdzona i zaniedbywana przez okrutnika, który jej świat zawiązał. Nie miała nawet przyjemności poskarżenia się przed kim bądź na swą dolę, matka bowiem, wbrew wszelkim teorjom o złych teściowych, brała zawsze zięcia w obronę.

— Dziwaczysz, moja droga — mówiła — przecież nie sposób jest wymagać, aby mąż stale się żoninej spódniczki trzymał. Gadajcie sobie, co chcecie, ale mąż ma inne prawa, a żona inne. Nie można go trzymać wciąż na uwięzi.

— Pocóż się w takim razie żenił, jeśli mu jest lepiej poza domem? — utyskiwała Ida. — Nie rozumiem, jak mama może trzymać stronę człowieka, który jej dziecko krzywdzi i znieważa.

— O krzywdzie i zniewadze niema mowy. Kocio jest człowiek porządny w całem znaczeniu tego słowa i kocha cię szczerze, w to nie wątpię. Ma tylko tę żyłkę drażnienia się z tobą, przyznaję i to mu poczytuję za złe. Nie powinienby tego robić, ale teraz wszystko jakoś inaczej. Po tej wojnie popsuło się dużo na świecie i nikt nie postępuje, jak należy.

— Ach, to wojna temu winna, że Kocio jest taki, jakim jest... Ha, ha, ha. Przepyszne—zaśmiała się nerwowo pani Ida. — Jak to mamusia umie wszystko wykombinować na jego korzyść. Ale ja tak nie potrafię. Czyż na to wychodzi się za mąż, żeby siedzieć po całych dniach samej i nie mieć do kogo przemówić słowa? A gdyby, dajmy na to, mama nie mieszkała w Warszawie, jakażbym była osamotniona w tem mojem miluchnem gniazdku, w którem myślałam, że tak będę niezmiernie szczęśliwą...

Tego rodzaju rozmowy powtarzały się coraz częściej. Pani Kamińska nie brała już zięcia w obronę i tylko na widok pobladłej twarzyczki córki smutno zwieszała głowę nad robotą, jakgdyby zabrakło jej już argumentów na tłómaczenie i czuła się odpowiedzialną za winy tego, który unieszczęśliwił jej ukochaną jedynaczkę.

Wreszcie pewnego dnia Ida przyszła do matki za-

płakana, z podkrążonemi jeszcze bardziej, niż zwykle, oczyma i rzekła krótko:

— Stało się!

— Co to jest? Na miłość Boga. Co się stało?

— Rozstaliśmy się! Kocio spakował swoje rzeczy na auto i wynajął sobie pokój.

— Jakże to? Tak nagle? Nie uprzedziwszy nic o tem?

— A tak. Wczoraj powrócił po czwartej w nocy. Nie rozbierałam się, czekałam na niego. On, widząc mnie, zrobił minę bardzo niezadowoloną i powiedział, że go śledzę, że go szpieguję... Że powinnam spać spokojnie, zamiast wyczekiwać na niego godzinami z desperacką miną. Miał wygląd niesamowity, rozdrażniony, siadł przy biurku i począł pisać nerwowo jakieś listy, drzeć różne papiery...

— Jezus, Marja! Pojedynek?

— Nic nie powiedział. Nie przemówił więcej ani słowa. Położyłam się i znużona zasnęłam. Musiał pisać jeszcze długo, bo znalazłam cały stos niedopałków od papierosów na biurku. Kocio wyszedł podobno przed szóstą, tak mówił dozorca, który mu otwierał bramę. Był ubrany elegancko, jak na wycieczkę lub spacer. Nazajutrz dowiedziałam się dopiero, że pojedynkował się o jakąś kobietę. Skończyło się szczęśliwie lekkiem zadraśnięciem, ale fakt faktem pozostanie, całe miasto będzie mówiło o tym pojedynku, bo wyzwał go jakiś mąż zazdrosny w Savoyu. Nietrzeźwy był i awanturnik znany, jak utrzymuje Kocio, ale nic mu już nie wierzę i cieszę się, że rozmowa z powodu tego

skandalu wyjaśniła stosunek pomiędzy nami. Żąda zupełnej swobody działania, niechże ją ma, ale niech już ja nic o tem nie wiem i nie męczę się mem dziwnem położeniem. Będziemy mieszkali oddzielnie. Ułożyliśmy to wszystko naprędce i tak będzie lepiej.

Matka zmartwiła się bardzo. Żywiła w duszy nadzieję, że młodzi przyjdą do porozumienia, ale tymczasem zgodziła się na to, by córka przychodziła do niej na obiady i pozostała w dalszym ciągu w swem mieszkanku, urządzonem wytwornie i elegancko.

Trwało to już od paru miesięcy. Ida zacięła się w swem postanowieniu i nie chciała nawet pójść do matki, gdy Kocio przyszedł, aby się tłómaczyć i czynił krok do zgody. Pani Karnicka znów była teraz po jego stronie, gdyż zięć umiał pieszczotliwem obejściem z „mamuchną“ zjednać ją sobie i przebłagać, a mamuchna należała do tego pokolenia kobiet, które miało wpojoną sobie cześć dla mężczyzny i zawsze było skłonne przyznać mu słuszność.

Kocio zresztą utrzymywał z tak głębokiem przekonaniem, że ten nieszczęsny pojedynek spadł na niego, jak grom z jasnego nieba, że zawiany mocno jegomość od sąsiedniego stolika szukał widocznie awantury i uczepił się do niego w sposób wielce grubiański, tak, że nie można było inaczej postąpić, jak rzucić mu bilet wizytowy w ślepia i następnie przyjąć jego sekundantów. Ta mała dywersja pojedynkowa przeszłaby ostatecznie bez wrażenia, gdyby Ida nie przyjęła tej sprawy zbytnio do serca, jako uwłaczającej jej osobiście. Konstanty przypisywał głównie winę dzienniko-

wi, z sensacyjnych wiadomości słynącemu, który, omawiając fakt, wydrukował nazwiska uczestników pojedynku, przedstawiając Kocia, jako znanego bałamuta, a jego żonę jako nieszczęśliwą ofiarę.

* * *

Po stronie Idy był brat jej młodszy, Staszek, mający znów kult wrodzony dla kobiety. Do siostry był hołdowniczo przywiązany i uważał ją za wcielenie wszelkiej doskonałości. Nieraz z matką nawet pozwalał sobie dyskutować na ten temat i uważał, że matka jest zbyt pobłażliwa dla Kocia i zbyt wymagająca od Idy.

Staszek miał lat dwadzieścia, był na drugim kursie uniwersytetu. Grał bardzo biegle: marzycielska jego natura znajdowała ujście w tworzeniu nastrojowych poematów, które znajdywały oddźwięk w skłonnej do tęsknot i zadumy Idzie. Oboje odziedziczyli pewną nerwowość po ojcu, będącym zdolnym dyletantem w różnych kierunkach. Pisywał on niegdyś udatne poezje, malował, rzeźbił, grał i śpiewał. Najmniej miał usposobienia do gospodarki na roli, którą, odziedziczywszy znaczny majątek, uprawiać musiał. Zawikłane dość interesa i gospodarka, potrzebująca silnej ręki, zupełnie go zmogły. Uważał je za nieszczęście swego życia. Rozwinęła się w nim choroba sercowa, która go wcześnie wtrąciła do grobu. Pozostała po tym subtelnym i wytwornym w każdym calu idealiście, nieprzystosowanym zupełnie do powojennych warunków życia, smuga jasnych wspomnień w sercach tych, którzy

go bliżej znali, a zwłaszcza dzieci wielbiły jego pamięć, stał się z latami dla nich synonimem niedościgłego ideału prawości, szlachetności i dobroci.

Nieraz przypominały sobie ze wzruszeniem: „Pamiętasz, jak to tatko mówił bywało“, albo: „O, tatko nigdyby tak nie postąpił“.

Pewnego razu Ida zawołała z oburzeniem: „Jak mama mogła pożyczyć tym nudziarzom Pawłowskim do czytania tę książkę, którą tatuś tak lubił! Wszędzie na marginesach są uwagi, jego ręką pisane. I zakładki sam powkładał w ulubionych przez siebie miejscach...“

O tym tatku, owianym jakąś promienną aureolą, mówiło się z czcią i głębokiem uczuciem. Wobec niego, mama wydawała się nazbyt przyziemną. Jej prosta, nieskomplikowana natura nie tak trafiała do przekonania młodych indywidualistów. Apoteozowanie pamięci zmarłego ojca obniżało do pewnego stopnia przez porównanie solidne wartości jej umysłu i serca. Czuła to, ale nie gniewała się na swych ukochanych pieszczochów, gdyż dla niej również postać zgasłego przedwcześnie męża przybrała jakieś mistyczne formy, uważała go za zjawiskowego wprost człowieka, który powinien był zabłysnąć, jak gwiazda na artystycznym horyzoncie, a zmarnował się w powszedniej pracy.

Staszek nieraz odrywał się od pilnych zajęć, by spędzić z siostrą parę godzin w jej miluchnem, zacisznem mieszkanku i ponure jej myśli rozproszyć. Ożywiała się zawsze, mówiąc o sztuce, był to jej żywioł ulubiony i Staszek podtrzymywał jej upodobania ma-

larskie. Ida natomiast słuchała z przyjemnością i zainteresowaniem nowych utworów brata.

Raz w sobotę wpadł przed dwunastą, aby pójść z siostrą razem na otwarcie wystawy w Zachęcie.

Otworzyła mu drzwi Jagusia. Nie widział jej dotąd. Oznajmiła, że pani wyszła na chwilę, zaraz powróci i prosiła, żeby pan tu poczekał na nią.

— Z przyjemnością — zawołał młody chłopak, zawieszając swą czapkę studencką na wieszaku.

Miał wrażenie, że mu nagle promień słońca wpadł do duszy przez te jasne, zalęknione nieco oczy wiejskiej dziewczyny, która otwierała mu drzwi do saloniku.

— A czy panienka jest teraz na stałe u mojej siostry? — zapytał Staszek.

— Tak, proszę pana. Ale ja nie jestem żadna panienka, jeno Jagusia z Brzozowej Wólki.

— Z Brzozowej Wólki?... No, proszę. To tam gdzieś blisko koło nas?

— A jużci — odrzekło dziewczę, ożywiając się na to wspomnienie — niedaleczko, mówiła Janowa.

— Jakże się Jagusi w mieście podoba? — zagadnął Staszek, wszedłszy do saloniku i zatrzymując tem pytaniem Jagusię, która miała już zniknąć za portjerą, by wrócić do swych zajęć.

— Niczego sobie — odparła. — Czasem trochę cni się za wsią, ale ino zwyknę, to minie.

Staszek uśmiechnął się do niej życzliwie.

— A lubi Jagusia swoją panią? — indagował dalej, chcąc jeszcze przeciągnąć rozmowę.

— O bardzo. Pani jest taka dobra dla mnie, że trudno jej nie lubić. Choć coś nie tak zrobię, nie tak postawię, pani nigdy mi złego słowa nie powie. Jeno mi przykro, że pani ciągiem taka smutna, jakby coś miała na sercu.

— Jagusia jest pogodna, to niech ją trochę rozwesela — odrzekł Staszek z powagą.

— Ach, jakbym chciała to potrafić! — zawołała Jagusia ze szczerym zapałem. — Z duszy, z serca bym chciała, ale nie moja to rzecz. Kto inszy możeby i potrafił, gdzież mnie się brać do tego. Ja się jeno ciągiem modlę do św. Tereski, żeby pani ulżyło na sercu, ale żeby moja pani sama zechciała się też pomodlić, całkiem byłoby inaczej.

Jagusia mówiła te słowa z taką głęboką wiarą i przekonaniem, że Staszek patrzał z zachwytem na jej twarzyczkę rozpromienioną i w końcu szepnął:

— A czyż moja siostra się nie modli?

— Nigdy, proszę pana, nie widziałam, żeby pani mówiła pacierz, ani na książce też się nie modli, ani do kościoła nie chodziła jeszcze przy mnie. Tak jakoś ranek schodzi, że niby jakości czasu niema — dodała z widocznym smutkiem w głosie.

— A Jagusia często bywa w kościele? — pytał Staszek, coraz bardziej chłonąc oczyma wdzięczną postać dziewczęcą.

— A jakżeby. Codzień zrana, zanim pani się obudzi i na mnie zadzwoni, biegnę do kościoła Zbawiciela, bo to od nas najbliżej. Człowiekowi bez modlitwy, to jak rybie bez wody — szepnęła sentencjonalnie.

— Pewno, pewno — odparł Staszek, zapalając papierosa i przyjmując z rąk dziewczyny podane sobie zapałki. — Niech to Jagusia przy okazji pani wytłómaczy.

Chciał jeszcze coś mówić, ale zgrzytnął klucz w zatrzasku i Jagusia pośpieszyła na spotkanie Idy.

— Już jesteś, Staszku? Przepraszam cię, że czekałeś na mnie — zawołała Ida od progu, poczem podeszła bliżej, witając serdecznie brata. — Czy nie długo przynajmniej? — pytała, jakby opóźnieniem swem zawstydzona.

— Sekundę zaledwie — odrzekł wesoło — tak przynajmniej mi się wydało, zabawiając się rozmową z twoją nową frejliną. Ależ to jest zjawiskowa dzieweczka z naszych pól i lasów. Nic nie wiedziałem o tym świeżym nabytku.

— Sympatyczne stworzenie — rzekła Ida. — Trochę mniej mi teraz pusto w domu — dodała ciszej, jakby do siebie. Twarz jej przybrała smutny wyraz. — Tamta, przychodnia, którą miałam po zerwaniu z Kociem, była nieznośna, brudas i impertynentka.

— Ach, ta stara wiedźma była odrażającej urody — zaśmiał się Staszek. — Zawsze miałem wrażenie, gdy wyskakiwała na moje spotkanie, że „w jakiejś strasznej tarapacie, leci baba na łopacie"... Pamiętasz, jak to nam tatuś deklamował, a myśmy słuchali z przejęciem?

— Pamiętam, pamiętam doskonale, jak zawsze prosiłeś, niech tatuś powie: „na łysą gólę". I nigdy nie miałeś dość tej historji o wiedźmach z Łysej Góry.

I ta twoja nadobna Marjanna musiała tam polecieć na łopacie, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Ale za to ten pączuszek jest formalnie zachwycający.

— Aż tak dalece? — zdziwiła się pani Ida. — Jakoś w tę sekundę, jak powiadasz, doszedłeś do nadzwyczajnych wyników. Ale chodźmy już, chodźmy, bo się spóźnimy na otwarcie wystawy, a chcę koniecznie zobaczyć portret, jaki wystawiła podobno Bielska, kuzynka Kocia.

— Jego portret?

— Nie wiem napewno, ale słyszałam, że go malowała.

— To pewno i on tam będzie?

— Możliwe, ale postanowiłam udawać, że go nie widzę.

— Jednakże chodzi ci o zobaczenie portretu? — uśmiechnął się brat złośliwie.

— Nie o model mi chodzi, ale o wykonanie. Zrozum to, mój drogi, Bielska studjowała kilka lat w Paryżu, podobno doskonale chwyta podobieństwo i to nie tak fotograficznie, ale właśnie duszę modela uwydatnić umie. Szalenie jestem ciekawą, jak jej się to udało?

Po chwili znaleźli się już na ulicy. Staszek przywołał auto. Pomknęli w szybkiem tempie do gmachu Zachęty. Fala ludzi płynęła w tę stronę.

Wernisaż ma zawsze osobliwy urok, zarówno dla znawców, jak też i dla snobów, łowiących uchem

zdania wytrawnych krytyków, by je potem powtarzać, jako własne.

Sale wypełnione były po brzegi wytworną publicznością. Dla większości pań strojnych, oglądanie obrazów stanowiło tylko pretekst do flirtów i zabawy. Czatowano na większe „fisze“, różnych posłów, ambasadorów i mecenasów sztuki.

Ida roztargnionem okiem przebiegała po ścianach, zawieszonych dorobkiem artystów, szukając odbicia tak dobrze znanej sobie postaci swego eks-męża, jak się wyrażała o nim z tajonym żalem.

Zatrzymała się nagle i stanęła, jak wryta. Kocio zdawał się wychylać do niej z ram obrazu, uśmiechnięty, z lekkim sarkazmem na ustach, w stroju myśliwskim, w którym go tak lubiła. Ida miała wrażenie, że do niej przemówi swym dźwięcznym barytonem: „Dola... Idola... Czy się jeszcze gniewamy?“

Mimowoli oczy jej zaszkliły się łzami; powstrzymywała je siłą woli, aby nie spłynęły po twarzy.

Staszek dostrzegł wrażenie, jakie wywołał na siostrze portret szwagra i pomyślał sobie: Jednakże ona jest bardzo do niego przywiązana. Byłoby może lepiej, żeby się pogodzili.

Ida przeszła do innej sali, nie chcąc, aby zauważono jej zainteresowanie, przyglądała się napozór uważnie obrazom, ale była roztargniona i nie mogła na żadnym skupić uwagi.

Powracając, chciała raz jeszcze spojrzeć na wizerunek, który tylko jeden właściwie ją obchodził, ale zobaczyła sylwetkę męża, zwróconego do niej plecami

i rozmawiającego z jakimś panem z wielkiem ożywieniem. Mówił z nim właśnie o portrecie, gdyż wskazywał jakiś szczegół, misternie odrobiony.

Ida ścisnęła nerwowo rękę brata.

— Chodźmy już, chodźmy — szepnęła — przyjdę, gdy nikogo nie będzie. Nie chcę, żeby mię zauważył.

Pociągnęła brata za sobą ku wyjściu. Szli teraz szybko w milczeniu, którego żadne przerwać się nie odważało.

— Do widzenia, Staszku, zobaczymy się przy obiedzie — rzekła nagle Ida — tylko proszę cię nie wspominaj nic mamie o tym portrecie, o spotkaniu Konstantego. Nie chce mi się poruszać dziś tej kwestji.

— Dobrze. Rozkaz! — odrzekł Staszek wesoło i pomknął ulicą Traugutta w stronę uniwersytetu.

Ida poszła Mazowiecką, zadumana i smutniejsza, niż zwykle.

W duszy jej toczyła się walka. Czuła, że obojętność dla męża, którą niby wyrobiła sobie, była jednak pozorna, jeśli przelotne spojrzenie, dźwięk jego głosu, poruszyły odrazu w niej te struny tkliwości, które zdawało się zupełnie drgać przestały. Czy lepiej może było nie uciekać? Spotkać się z nim na neutralnym gruncie, czekać, aż przemówi... A potem?... Co?... Przebaczyć? Jakgdyby nic nie zaszło?... To byłoby uczynić tak, jak mama zawsze powiada. Ale przecież ambicja zadraśnięta nie pozwoliłaby na to... Musiałby błagać, przepraszać długo, zanimby się zdecydowała... I tak jeszcze... Klejone szczęście. Cóż jest warte?... Myślałby,

że wyżyć bez niego nie potrafi. I postępowałby w dalszym ciągu lekkomyślnie, jak to on umie. Nie, jeszcze za świeża rana... Nie potrafi przemóc się... zapomnieć winy.

. Jakże dobrze było im razem... Zdawało się, że tak będzie całe życie. A tu odrazu na wstępie brutalne rozczarowanie... O la, la, la! Potrafię przecież żyć sama. Muszę więcej pracować, poświęcić się sztuce całkowicie. Jednak Bielska zrobiła olbrzymie postępy! Jak trafnie podchwyciła jego wyraz. Ten uśmiech, niby ironiczny, a łagodny i pociągający i te oczy... Szelmowskie oczy. Jak on jednak szykownie wygląda... Z nikim nawet porównać go się nie da. Ma jakiś wdzięk w głosie, w każdym ruchu, w pochyleniu głowy. Jakiś „szarmik“ przebajeczny. Podła rzecz to uczucie! Jak to człowieka trzyma. Zdawało się, już nic. Przeszło, przekreślone, zapomniane. I znowu wraca z nową siłą za lada podmuchem...

Ida miała pełne oczy i myśli Kocia. Nie mogła otrząsnąć się w żaden sposób z tego wrażenia. Nie widziała go już od trzech miesięcy. Zdawało się jej, że conajmniej trzy lata minęło od ostatniej z nim rozmowy. Tak wlokły się godziny i dni powoli... Jeszcze możnaby wszystko naprawić, powrócić do dawnego życia. Jak było jasno, wesoło, przytulnie w tem mieszkanku, a teraz? Niema na kogo czekać, niema do kogo słowa przemówić. Tylko ten „zachwycający pączuszek“, jak mówi Staszek o Jagusi. A gdyby ona była przy Kociu, kto wie, czy nie zachwyciłby się również jej urodą i nie miałaby chwili spokoju. Przynajmniej teraz spokoju

ma więcej, niż potrzeba, ale przytem jaka pustka w życiu...

Wchodziła na schody przygnębiona; nie miała ochoty przekręcić kluczem w zatrzasku, jakby otwierała drzwi do własnego więzienia.

— Nieznośne życie! — westchnęła cicho — tak mogło być dobrze, a on wszystko zniweczył!

Zdejmowała kapelusz zwolna przed lustrem, przyglądając się sobie uważnie.

— Maszkarą żadną nie jestem, ale widocznie przestałam mu się podobać—szepnęła z żalem.—Ten kapelusz zupełnie mi nie do twarzy. Dobrze, że mnie w nim nie widział. Muszę sobie sprawić nowy. Zaniedbałem się ostatniemi czasy. Kocio zawsze mówił, że to bardzo źle, jeśli kobieta nie dba o swój wygląd zewnętrzny. Kocio! Znowu Kocio! Trzeba się otrząsnąć z tego wpływu jego myśli i woli...

Poczęła nerwowo ściągać rękawiczki i zadzwoniła na Jagusię.

Ta stanęła w progu, z pytającym wyrazem. Ida nie wiedziała właściwie, po co ją przywołała. Chciała mieć przed sobą kogoś, by zagadać i rozproszyć cisnące się myśli.

— Czy nikogo nie było? — zapytała pokojówki.

— Nie, proszę pani — odparła Jagusia, zdziwiona nieco pytaniem, bo nigdy o tej porze nikt do mieszkania nie dzwonił.

— Listu nie przynosili?

— Nie, proszę pani — rzekła Jagusia tymże tonem?

— Posprzątałaś porządnie?

— Zdaje się, że wszystko zrobione, jak należy.

Ida rozglądała się, jakby chcąc sprawdzić, czy tak jest w istocie.

— Dobrze, moja mała. A gotować już się nauczyłaś trochę? Marysia mówi, że jesteś bardzo pojętna.

Jagusia zarumieniła się radośnie.

— Już bym potrafiła przyrządzić sama nie jeden obiad. Co to trudnego w mieście, jak jest woda i gaz na miejscu. Duchem wszystko zrobić można. I wiem już, gdzie co kupić można. Spróbujemy którego dnia, jak pani pozwoli.

— Doskonale. Chociażby we czwartek. Będzie święto. Mamę zaprosiła ciocia na obiad, Staszek niema ochoty iść, to go zabiorę do siebie. Tylko postaraj się smaczny przyrządzić nam obiadek. Z Marysią kupicie we środę wszystko, co potrzeba. Potem dobrą czarną kawę nam podasz.

Idzie przypomniały się obiadki sam na sam z Kociem i ożywiła się na to wspomnienie. Jagusia też rada była popisać się swą umiejętnością.

— A na którą godzinę ma być obiad? — zapytała nieśmiało.

— Na drugą. Już nie będziesz na sumie, tylko możesz iść, jak zwykle, na Mszę ranną.

— Pewno pani pójdzie też do kościoła?

Ida, zaskoczona pytaniem, zawahała się z odpowiedzią.

— Nie wiem jeszcze napewno — odrzekła po

chwili. — Poco zresztą mam miejsce zabierać tym, którzy tylko w święto mogą pójść na nabożeństwo?

Jagusia spojrzała jakby z wymówką swemi jasnemi, poczciwemi oczami.

— W kościele dla każdego, kto chce się pomodlić, miejsce się znajdzie — szepnęła z przekonaniem.

— Gdybym była pewna, że mnie Bóg wysłucha, modliłabym się, ach, jak gorąco! — zawołała młoda kobieta, błądząc wzrokiem w przestrzeni. — A czy kiedy twoja prośba się spełniła? — zapytała nagle, patrząc badawczo na Jagusię.

— Ja jeno proszę zawsze Pana Jezusa, żeby zrobił to, co uważa dla mnie za najlepsze — odrzekło dziewczę. — I za siebie i za panią modlę się codzień, bo Pan Bóg już sam wie dobrze, co każdemu z nas potrzeba.

Ida westchnęła lekko. Zazdrościła w tej chwili Jagusi jej gorącej wiary. Tliła wprawdzie na dnie duszy młodej kobiety owa wpojona od dzieciństwa religijność, ale bardziej obchodziły ją formy niż treść sama. Zczasem i formy wydawały się jej mniej doniosłe, pewny sybarytyzm i lenistwo spowodowały to ochłodzenie. Chodzenie do kościoła wydawało się Idzie rzeczą zbędną. Wszak Bóg jest wszędzie i na każdem miejscu, mogę westchnąć do Niego czy tu, czy tam, wszystko jedno. A słuchać kazania? To już jest wprost nad siły. To dobre dla ludzi, którzy czytać nie umieją, rezonowała, tłómacząc się jakby sama przed sobą z zaniedbywania obowiązków. A zresztą niech chodzą starsze panie, dla których już życie nie przedstawia uroku, to jest całkiem zrozumiałe, ale skąd w tem młodziutkiem stworzeniu

obudził się pociąg do wypełniania praktyk religijnych? Czy to już nasz lud cały tak jest usposobiony? Jakie to jest swoją drogą ładne i pociągające zarazem. Ta dziewczyna mi imponuje poniekąd, bo w niej nic niema udanego. Jednakże ludzie głęboko wierzący są daleko szczęśliwsi od nas, oziębłych, a właściwie leniących się praktykować. Kocio jest też zupełnie pod tym względem do mnie podobny. Teoretycznie powiadał zawsze, że nie znosi kobiet filozofujących i niedowiarków, sam mię nigdy jednak nie zachęcał, aby pójść razem na mszę. W nim też jest jakaś dziwna mieszanina złego i dobrego. Trudno go zrozumieć. Trzebaby go brać takim, jakim jest, albo zupełnie zerwać. Wybrałam to ostatnie. Czy dobrze zrobiłam?.. Nie umiem sobie odpowiedzieć na to pytanie. Gdybym miała może szczerą wiarę Jagusi, znajdowałabym przyjemność w przebaczeniu win, bo tak kościół nakazuje. Nie mogę jednak zdobyć się na tyle samozaparcia się, by krzywdę sobie uczynioną darować. Jestem zupełnie na rozdrożu. O Boże! Gdybym potrafiła modlić się gorąco z całej duszy, z całego serca, możeby ta gorycz spłynęła we łzach pokornej modlitwy i powrócił spokój utracony.

Jagusia, która odeszła była do kuchni, zaglądała parę razy, stanąwszy cichutko na progu, i jakby wyczuwając nastrój Idy, przemyśliwała czemby ją pocieszyć.

— Widzi pani — rzekła zbliżając się na palcach— jaki śliczny obrazek sobie kupiłam.

To mówiąc wskazała wizerunek św. Teresy, wpatrując się weń z rozmiłowaniem.

— To święta Tereska — objaśniała, — tasama, co powiedziała, że z nieba róże ludziom sypać będzie.

— Ach, tak? — szepnęła Ida z roztargnieniem, biorąc z rąk Jagusi wizerunek. — Śliczne ma, pogodne oczy. Czy masz do niej szczególne nabożeństwo?

— O, proszę pani, to jest wielka święta, choć taka młodziusieńka. Dużo łask ludzie przez nią doznali. Żeby paniusia chciała się modlić do św. Tereski, byłoby wszystko inaczej.

— Jak naprzykład inaczej? — uśmiechnęła się Ida. — Jak to rozumiesz?

— A tak, po mojemu; paniusieczce smutno teraz samej, że to pan niby odszedł i panią zostawił bez opieki, a jakby św. Teresce zechciało się rzucić jedną różę z nieba na pocieszenie, to by... to by...

— To by co było? — pytała Ida z ożywieniem.

— Toby pan powrócił i już panią nie martwił i byłaby szczyra zgoda i żyłoby się po Bożemu.

— To wielka, widać, ta twoja święta, jeśli tak wszystko u Boga wyprosić może — odrzekła Ida z łagodnym uśmiechem, patrząc w roziskrzone zapałem oczy dziewczęcia.

— Niech pani byle się nie pogniewa — szepnęła Jagusia zarumieniona — ale ja dla pani ten obrazek kupiłam, a dla siebie mam drugi.

Przy tych słowach pochyliła się do ręki Idy z pokornym wyrazem.

— Dziękuję ci, moja mała — rzekła Ida z ciepłym uśmiechem, całując głowę dziewczyny. — Bardzo mi

jest miło, że pomyślałaś o mnie. Włożę zaraz obrazek w ramki i postawię na pianinie.

— Na pianinie? — powtórzyła Jagusia, jakby z przerażeniem.

— A czemużby nie? Tam stoi tyle miłych mi fotografji i pamiątek.

— Ale obrazek święty powinien wisieć nad łóżkiem wedle mego rozumienia, — szepnęła Jagusia.

— No to zrób, jak uważasz „wedle twego rozumienia". Powieś obrazek na ścianie. Z przyjemnością będę na niego patrzyła w chwilach smutku i tęsknoty do lepszych światów.

— Ach, jak to dobrze, jak dobrze, cieszyła się Jagusia. Jeszcze więcej będę kochać teraz moją paniusieczkę złotą...

Znowu przypadła do jej ręki, ale Ida odsunęła ją zlekka, mówiąc:

— Dość już tego, Jagusiu, pozamykaj wszystko, podaj mi kapelusz, bo już mama pewno się niecierpliwi, że na obiad nie przychodzę. Idź także zaraz i nie zapomnij powiedzieć Marysi, że macie pójść razem we środę po zakupy.

Przy obiedzie Staszek dotrzymał obietnicy i nie było mowy o portrecie, ani o Kociu wogóle, jakgdyby wcale nie istniał i nigdy do rodziny nie należał. Natomiast Ida oznajmiła, że Staszka zaprasza do siebie we czwartek na pierwszą próbę kulinarnych zdolności zachwycającego pączuszka.

— Skądeś ty wytrzasnęła tę boginkę leśną? —

śmiał się młodzieniec. — To doprawdy fenomenalny okaz.

— Tylko proszę cię bardzo, nie zawracaj jej głowy, mój Staszku, — powiedziała matka tonem przestrogi. — Jak jej zaczną mówić różne piękne słówka, to się dziewczyna w mig popsuje, a chodzi o to, żeby była na swojem miejscu.

— To jest mała despotka, ta moja Jagusia — mówiła Ida. — Kazała mi dziś zawiesić nad łóżkiem obrazek i uległam jej prośbie.

— A to się jej chwali — zawołała matka — bo jakoś pogańsko wyglądał ten twój artystyczny kątek.

Rozmawiano następnie o rzeczach potocznych i układano menu na czwartek. Miały być wszystkie najulubieńsze przez Staszka przysmaki, więc żartowano na ten temat, gdyż dopominał się o majonezy, homary, bażanty, lecz zgodził się ostatecznie na skromniejsze potrawy, nie przekraczające kulinarnych uzdolnień „boginki“.

*

* *

W niedzielę niespodzianie zjawiła się Janowa i Jagusia była uszczęśliwiona otrzymawszy wieści z rodzinnej wioski.

Ojciec podobno chodzi bardzo markotny od czasu jej wyjazdu i żonie zaczyna głośno docinać, że córkę wygryzła z domu i że mu teraz bez niej jest ciężko. Władek parę razy przylatywał do Janowej, zapytując czy nie wybiera się do Warszawy i prosząc, aby dała znać kiedy jedzie, żeby list do Jagusi wyrychtować. Wypisał też

na wielkim arkuszu bardzo serdecznie cały swój smutek i tęsknotę, zapewniając, że ciągle ma swoją ukochaną przed oczami, czy w polu, czy w domu, czy przy jakiejbądź robocie; że wujek często gderze na niego za te smutki i radby go widzieć weselszym, ale trudno poradzić, jeśli człowiekowi ciężar duszę przygniata, to już o nijakiej wesołości nie może być mowy:

— Ty już, mój Władku, za tą Jagusią świata nie widzisz, powiedział raz stary, siedząc przed chałupą w dzień świąteczny; ani pójdziesz gdzie na zabawę, ani na żadną dziewczynę nie spojrzysz. Nie taki ja był w twoich latach. Ho, ho, ho! A takie, jak twoje, kochanie jak się człowieka imie, to i nie sposób go wyrzucić. A trzeba.

— Dlaczego trzeba — zapytałem, marszcząc brwi gniewnie.

— Bo możesz sobie znaleźć dziewczynę posażną, a nie taką, co do miasta na służbę leci, wiadomo, że nic dobrego z takiej służby nie wyniesie, jeno nauczy się chodzić w kapeluszu i do chłopców zawracać oczy. Już tam takiej żony nie daj Boże! Widziałem ci ja nieraz, jakie to bywają z temi miejskiemi stadła.

Złość mię wzięła i żałość wielka, że tak stary sądzi po swojemu i w cudze sprawy się wtrąca, więc mu wygadałem wszystko, co miałem na sercu, aż mi samemu było dziwno, że tyle śmiałości nabrałem i że wujek zwykle surowy, słuchał mnie i nie pisnął ani słowa. Mam teraz nadzieję, że wszystko jak najlepiej się ułoży, bo wujek jakiś taki zrobił się ustępliwy, jak nigdy przedtem nie był i już o tej córce wójtowej, co to niby sobie upa-

trzył dla mnie, ani mru mru. Pewno już to sobie wybił z głowy. A ja też ciągiem milczę, bo wiadomo z Mochnickimi to tak: jeśli któremu co do łba wejdzie, to i kijem nie wygonisz, ale trzeba tak zręcznie utrafić na dobrą chwilę, żeby jemu samemu przyszło na rozum to właśnie, czego się żąda i niby z jego własnej chęci pochodzi. Już ja tak potrafię manewrować i zobaczysz Jaguś moja, że będziemy jeszcze bardzo szczęśliwi i wujek za tobą świata widzieć nie będzie.

List Władka sprawił Jagusi niezmierną radość. Przypisywała ją swej najdroższej świętej Teresce i cieszyła się, że tak cudną rzuciła jej różę.

Janowa zabrała z sobą Jagusię do swej chorej znajomej na Pragę i tam powitano ją ogromnie przyjaźnie, wymawiając, że dotąd nie zaglądnęła ani razu. Frankowi aż oczy błysnęły, gdy spojrzał na dziewczynę, a matka jego opowiedziała, że Tomek od tapicera rady sobie dać nie może, tak by chciał ją zobaczyć, ciągle się o nią dopytuje.

— Niechby tu przyszedł teraz — zwróciła się do syna — bo pomyśli, że mu nie chcemy pokazać Jagusi. I jej może będzie weselej z wami dwoma, niż z jednym tylko Frankiem.

— Ja tam krótko tylko mogę tu pobyć — szepnęła Jagusia zmieszana.

— Ona na znajomości nie łasa — rzekła Janowa z uśmiechem życzliwym, spoglądając na dziewczynę. — Ma tam już swego chłopca upatrzonego na wsi i o miejskich nie dba.

— Tak? — wtrącił Franek, patrząc na Jagusię jakby z wymówką i z żalem.

— A jużci! — szepnęła Jagusia, rumieniąc się po same uszy.

Ale Tomek snać nie dowierzał zapewnieniom Franka, że go zaprosi, gdy tylko przyjdzie panna Agnieszka, dojrzawszy ją przez okno, wpadł niby niespodzianie i stanął na środku izby jak wryty.

— Przepraszam, przepraszam — bąkał rozglądając się wokoło — ja tylko na sekundę do Franka.

— Dlaczegóż tak jak po ogień. Może pan posiedzi trochę z nami — mówiła chora zachęcająco.

— Pani ma gości z dalekich stron — odrzekł Tomek — może będę przeszkadzał?

— Nie tak znów z dalekich, jedna ze wsi, druga z Warszawy, — zaśmiała się matka Franka. — Niech pan pomoże zabawić, Franek tymczasem stół zastawi.

— Może i ja co pomogę. Franek! staw kawę, a ja po ciastka skoczę.

Franek istotnie już maszynkę zapalił i zapach aromatycznej kawy rozniósł się w powietrzu.

Tomek wybiegł jak wicher i jeszcze prędzej powrócił z paczką w ręku.

Jagusia spoglądała niespokojnie na Janową, mówiąc, że jej się bardzo śpieszy, bo pani będzie niezadowolona, jeżeli długo zabawi.

— Już się o to nie turbuj, ja cię wzięłam pod swoją opiekę i potrafię wytłómaczyć — zapewniała Janowa.

Tomek przysunął się do Jagusi i jął wypytywać, jak jej się w mieście podoba? czy mieszka stąd daleko,

a oczyma pożerał wprost dziewczynę, nie mogąc się napatrzeć jej urodzie.

Jagusia odpowiadała półsłówkami z widocznem zalęknieniem, które wprowadzało w zachwyt Tomasza, przywykłego do śmiałych i rezolutnych dziewcząt. O wiejskich miał pojęcie, że są czerwone jak raki, chychoczą głośno i krzykliwie, potrącając się łokciami. Zachowanie się Jagusi, jej brzoskwiniowa cera i rumieńce wytryskujące na twarz pod jego gorącem spojrzeniem, sprawiły na nim silne wrażenie. Gdy się dowiedział, że po paru miesiącach pobytu w Warszawie nie widzała jeszcze nic, prócz kościołów, że nie była nawet w kinie, umyślił koniecznie namówić ją do pójścia na widowisko. Zrozumiał odrazu, że nie pójdzie bez towarzyszki, zaproponował więc od niechcenia Janowej, żeby razem się wybrały i zmyślił naprędce, iż ma bezpłatne bilety wejścia i obie je wprowadzi.

Spojrzały po sobie pytająco. Pokusa była silna. Janowa postanowiła skorzystać z okazji, bo zawsze projektowała sobie zobaczyć te dziwy, ruszające się fotografje, wyglądające jak żywi ludzie, Jagusia jednak opierała się, nie chcąc przedewszystkiem przyjmować grzeczności od świeżo poznanego młodzika, a przytem obawiała się samowolnie pozostać dłużej, nie opowiedziawszy się swej pani. Tomek jednak namawiał gorąco, Franek przybrał pozycję wyczekującą, jakby chciał się przekonać, czy Jagusia ulegnie prośbom i stąd wniosek wyprowadzić miał o jej charakterze.

— Innym razem wybierzemy się — szepnęła Jagusia do Janowej — dziś doprawdy nie sposób. Możeby

się pani nie pogniewała za spóźnienie, ale lepiej zawsze uprzedzić, jeśli na czas nie wrócę.

— Jak uważasz, zrobię jak zechcesz — odpowiedziała Janowa. — Tyle czasu przeżyło się na świecie bez oglądania tych dziwów i zamorskich wymysłów, toć jeszcze wytrzymać można choćby drugie tyle. Jeżeli ty nie ciekawa, to i mnie nie śpieszno.

Pogadano jeszcze chwilę o tem i o owem. Jagusia poczęła naglić do powrotu, gdyż się już ściemniało.

— Już ja was nie puszczę od siebie. Przenocujecie u mnie — nalegała chora, zwracając się do Janowej. — Agnieszkę Franek do tramwaju odprowadzi, a tam już sama napewno trafi.

— Trafić to bym trafiła, ale raźniej byłoby wracać razem — rzekła Jagusia utkwiwszy wylęknione oczy sarenki w swą towarzyszkę.

Tomasz zbliżył się, zapewniając, że obaj z Frankiem gotowi są odprowadzić pannę Agnieszkę do samego domu na piechotę, nietylko na Mokotowską, ale choćby i na sam Mokotów.

Jagusia podziękowała uprzejmie, powiedziała jednak, że chodzenie z młodymi, małoznajomymi ludźmi wydaje jej się niewłaściwe.

— Trudno doprawdy z panną Agnieszką poradzić. I tak źle i tak niedobrze — zawołał Tomek coraz więcej jej zachowaniem się zachwycony.

Frankowi wpadło też bardzo w oko to smukłe, jasnookie dziewczę, ale lepiej umiał ukrywać swe wrażenia. Przykro mu jednak było pomyśleć, że za chwilę zni-

knie mu z oczu i znów miną długie tygodnie zanim będzie miał sposobność ją zobaczyć.

Stanęło wreszcie na tem, że obaj chłopcy odprowadzą Janowę z Jagusią na Mokotowską, a potem powrócą z Janową na Pragę.

— Żeby wilk był syty i koza cała — zaśmiała się matka Franka.

— Chytre chłopaki — zawołała Janowa. — Nie śpieszno by im było dla mnie samej fatygować młode nogi. Ale lepiej, że dziewczyna nie będzie przepychać się sama w tych natłoczonych tramwajach. Cóż robić? Pójdę z nimi.

Wyruszyli we czwórkę. Zatrzymali się na moście Kierbedzia, żeby popatrzeć zdala na oświetloną Warszawę, odbijającą się migotliwie w Wiślanej toni, która przybrała teraz kolor ciemnego lazuru.

Tomek szedł tuż przy Jagusi. Opowiadał jej jak umie świetnie pływać i wiosłować, jak woził panny na spacer, jaki jest zręczny i odważny, jak potrafi zmóc nie jednego siłacza. Przechwałki te chybiały celu, gdyż nie trafiały do gustu dziewczęciu. Słuchała je z roztargnieniem. Franek półsłówkami odpowiadał Janowej na jej różne zapytania, mając wciąż zwróconą uwagę co tam Tomek Jagusi prawi, a głównie na to, czy ona go z zajęciem słucha.

Nie mógł jednak dostrzec najmniejszego zainteresowania w jej oczach, które błądziły gdzieś w dali, nie zatrzymując się wcale na mówiącym bez przerwy młodzieńcu. On też już począł tracić werwę i szukał w myśli tematu, któryby potrafił przykuć jej

uwagę. Uchodził w gronie towarzyszy za pogromcę niewieściego rodu, niejednej już dziewczynie głowę zawrócił, a tu taka jakaś wiejska dziewucha wydaje się zupełnie obojętną i jakby całkiem go lekceważy.

Poczekaj, już ja do ciebie dobiorę sposobu — myślał Tomek zniecierpliwiony. — Nie z takiemi facetkami dawałem sobie radę i świętoszki się do mnie garnęły, jak muchy do miodu. Muszę koniecznie tę dziewczynę sobie zjednać.

Przechodzili obok cukierni. Tomek zaproponował zajść na ciastka. Janowa już się skłaniała, ale Jagusia spojrzała jakby z urazą:

— Tylko co wstaliśmy od ciastków i znowu mamy jeść? Pan to snać lubi grosz wyrzucać po próżnicy.

— Nie po próżnicy — powtórzył Tomek, nieco drwiąco, podkreślając z naciskiem wiejską terminologję — ale dlatego, że chciałbym zrobić paniom przyjemność, a sobie jeszcze większą, mogąc dłużej przebywać w tak miłem towarzystwie.

Jagusia wzruszyła ramionami i ukazała szereg białych zębów w uśmiechu.

— Pan to je całkiem śmiszny człowiek — rzekła po chwili. — Przecież pan tak mało nas zna i już raz przyniósł dziś tego ciasta, a tera znów chce nas wciągnąć do tej zadymionej izby...

— To nie jest zadymiona izba — zaprotestował żywo — ale cukiernia jak się patrzy. Pójdziemy we czwórkę, przecież tego nikt za złe wziąć nie może?

— Ja tam nie pójdę, bo mi śpieszno do domu, ale możecie powracający zajść tu z panią Janową.

— Ładna historja! — rzucił Tomek przez zęby. Miał ochotę gwizdnąć, ale się powstrzymał. Nachylił się do ucha Jagusi i szepnął:

— Toż mi tylko o pannę Agnieszkę chodzi, poza tem niech się świat wali, a panna Agnieszka myśli poddaje, że aż złość bierze...

Franek, dojrzawszy konfidencjonalne pochylenie głowy Tomka, miał ochotę schwycić go za kark. Nie słyszał słów, lecz porwała go pasja, widząc wyraz twarzy zuchwałego chłopaka. Dałby mu nauczkę na poczekaniu, ale nie wypadało jakoś wszczynać burdę na ulicy, nagle jednak przeskoczył zręcznie na drugą stronę i szedł obok Jagusi na straży.

— Franek? A ty tu czego? — zawołał Tomek gniewnie. — Masz pilnować swojej osoby, a ja swojej.

— Panna Agnieszka nie jest twoją, a naszą znajomą, więc mam wszelkie prawo towarzyszyć pannie Agnieszce aż do domu.

— A ja ci pokażę, że nie masz prawa wtrącać tu swego nosa — krzyknął Tomek tak głośno, że aż przechodnie oglądali się ze zdziwieniem.

Jagusia jednym skokiem stanęła przy Janowej i schwyciwszy ją pod łokieć, rzekła:

— To już najlepiej będzie, jeżeli pójdziemy sobie razem, a oni we dwójkę za nami.

— Widzisz? Widzisz? Jakiegoś piwa nawarzył, idjoto!—szepnął Tomek, szczypiąc Franka wyżej łokcia.

— Trudno. Mus. Nie pozwolę, abyś zawracał głowę tej dziewczynie. Opętało cię licho, czy co takiego?

— To ona urzekła mię od pierwszej chwili. Powia-

dam ci, nie mogę sobie dać rady. A ty, niby przyjaciel i leziesz mi w drogę. Tfu!

Jagusia z Janową przyśpieszyły kroku.

— A to ci natarczywy chłop — rzekła Jagusia. — Uczepił się do mnie, jak te osty, co się wsyćkiego imają. A błyskają mu ślepia, kieby u wilka.

— Spodobałaś mu się — odparła Janowa z pewną dumą — a niczego chłopak, niczego.

— Gdzie jemu do Władka...

— A no pewno. Ty już masz swego, to ci i patrzeć na innych nie ochota. Ale Franek to zacna dusza i gdyby z Władkiem nic nie wyszło, radziłaby ja tobie syna Szymonowej. Od szczyrego serca bym radziła.

— O, już mi tam żaden tutejszy nie spodoba się tak, jak tamten — westchnęła Jagusia i zamilkła nagle, gdyż obaj młodzieńcy doskoczyli do niej w tej chwili.

Tomek, nie pytając już nawet o zgodę, skinął na taksówkę, stojącą nieopodal i sadowiąc z trudem Janową, zawołał wesoło:

— No, już tej frajdy nie odmówi mi pani, przelecimy jak wicher i za „kwandrans" będziemy z powrotem.

Nie zwracał się niby wcale do Jagusi, tylko zawołał do Franka:

— Siadajcież żywo! Poco czas mitrężyć.

Jagusia oszołomiona nie wiedziała jak i kiedy znalazła się w aucie obok Janowej, siedzącej już wygodnie w głębi. Na twarzy jej malowało się niezmierne zadowolenie. Przejechanie się choć raz w życiu w takiej karocy bez koni, w zawrotnym pędzie należało do skrytych marzeń zacnej kobieciny, ale niespodziewała się, aby to ma-

rzenie spełniło się tak nieoczekiwanie. Tomek z wyrazem tryumfu spozierał na obie niewiasty, zaskoczone jego propozycją i na Franka, który też miał minę zdumioną.

— Co to?... Już plac Trzech Krzyży? — zawołała Jagusia, zachwycona szybkością, z jaką przebyli Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat, jakby lotem błyskawicy.

— Za trzy minuty będzie już panna Agnieszka na swojem podwórku — zapewniał Tomek. — Tak pani było śpieszno, ale teraz zyskawszy tyle na czasie, moglibyśmy pojechać jeszcze do końca Alei Ujazdowskiej i dopiero zawrócić na Mokotowską.

— Okrutnie mi się ta jazda spodobała! — mówiła Janowa — jechałabym ci tak aż do swojej chałupy.

A Jagusi oczy zaświeciły fosforycznym blaskiem na myśl, że takby na skrzydłach można dolecieć do Brzozowej Wólki, zobaczyć ojca i Władka i powrócić znowu. Upajała ją śpieszna jazda; tęsknotą i wielkiem miłowaniem gorzały w tej chwili jej oczy.

— Więc jakże? Jedziemy jeszcze dalej? — zapytał Tomek, pochylając ku niej głowę.

Jagusia przemilczała. Serce jej biło szybko, myśl była stąd daleko. Auto mknęło wprost, a szofer, któremu wsiadając, nie podano adresu, zrozumiał, że dalsza przejażdżka jest pożądaną i skierował sam w Aleje.

— To ci mądrala. Jakby odgadł moje życzenie — zaśmiał się Tomek wesoło. Niech jedzie sobie, gdzie go oczy poniosą.

— Ale niechże mu pan powie, że ma nas odwieźć na

róg Pięknej i Mokotowskiej — szepnęła Jagusia, zwracając się do Franka, jako do poważniejszego opiekuna.

— Powiedz szoferowi, niech zawróci koło Belwederu — rzekł Franek do Tomasza.

— A cóż ci do tego, dokąd nas wiezie? Przekonamy się zaraz, co zamierza. Mam wrażenie, że skieruje do knajpy podmiejskiej.

— Bój się Boga, Tomek. Przecież wysiadać nigdzie nie będziemy — zawołał Franek, przerażony szczodrością towarzysza.

— Stul pysk i siedź cicho — huknął Tomek wesoło.

— Nie, nie. Pan Franciszek dobrze mówi — odezwała się Jagusia, jakby ze snu przebudzona. — Spróbowałyśmy jazdy, dziękujemy, niech pan każe zawracać.

— A jużci. Za takie jeżdżenie każą sobie słono płacić — dodała śpiesznie Janowa.

— To już nasza rzecz, proszę się o to nie turbować. Prawda Franek?

Tomek zwracał się do Franciszka o potwierdzenie swych słów, ale Franek miał przy sobie zaledwie parę złotych i płacenie szofera nie wchodziło w program jego zamiarów.

— Wracajmy! — zawołał tonem ostrym, nie zważając na to, że mu Tomek rękę ściska do bólu. — Słyszałeś, że panna Agnieszka prosi, abyśmy już wracali.

— O tak, tak. I proszę bardzo zatrzymać się na rogu Pięknej, dalej pójdę sama, bo nie daj Boże, żeby mię widziała sklepikarka, ani dziewuchy z naszego domu, bo zara będą na mnie ostrzyły języki, że rozjeżdżam

z kawalerami. O, rety. Aż mię ciarki przeszły, bo tam same plotkary i zawistne są na naszych schodach. Wracam raniutko z kościoła i słyszę, jak młodsza z dołu powiada: „Musi dużo nagrzeszyła, że tak się modli!...“ A kucharka w śmiech. Wiadomo, powiada: „Modli się pod figurą, a ma djabła za skórą“. I codzień mi dojudzają, jak mogą, bez te moje modlenie. A niechżeby która dopatrzyła, że wysiadam z tej budy. Tożby było gadania na całe pół roku.

Życzeniu Jagusi stało się zadość. Auto zatrzymano na zbiegu ulic. Chłopcy wysadzili ją pierwszą, a następnie Franek począł windować Janową, której nogi ścierpły od niskiego siedzenia i nie mogła się wydobyć.

Tomek, korzystając z chwilowego zamieszania, chwycił rękę Jagusi i ściskając ją mocno, szepnął:

— Panno Agnieszko, żeby tam nie wiem jakie plotkary i zawistne, gwiżdżę na wszystko. Muszę pannę Agnieszkę zobaczyć jaknajprędzej.

Jagusia szarpnęła rękę niecierpliwie:

— Odejdź pan i daj mi święty pokój. Nie chcę narazić się na ludzkie obmowy i nie mam życzenia widzieć pana...

— A ja będę jutro czatował w bramie aż się panna Agnieszka ukaże...

W tej chwili jakaś czapeczka studencka mignęła tuż przy nich, ktoś zatrzymał się, jakby niezmiernie zdumiony i ogarnął wzrokiem Jagusię, oraz rozpłomienione spojrzenie stojącego przy niej chłopaka. Uderzył go widok otwartego auta, ale Janowej, wyciąganej z trudem przez Franka nie dostrzegł wcale.

— Jagusia? Co tu robisz? — zawołał Staszek głosem surowym.

Tomek odskoczył szybko, a Jagusia, zmięszana niezmiernie, stała bezradnie, nie mogąc przemówić ani słowa. Miała wrażenie, że przyłapaną została na ciężkiej zbrodni i niema już dla niej ratunku.

Staszek wzruszył pogardliwie ramionami i poszedł szybko, przeżywając niemiłe wrażenie rozczarowania.

— Taka sama, jak wszystkie—powiedział sobie.— Co za idjotyczne miałem złudzenie, uważając ją za jakąś niewinność uosobioną.

Postanowił uprzedzić siostrę, że Jagusia włóczy się z kawalerami i że już na boginkę leśną innem patrzeć będzie okiem.

Jagusia nie zastała w domu pani Idy. Sama jedna, w czysto uprzątniętej kuchni siedziała teraz na zydelku z listem Władka na kolanach i rozmyślała nad tem, co będzie dalej. Jeżeli pan Stanisław opowie siostrze i matce, że ją spotkał i wymówią jej miejsce, czy ma wracać do domu, czy też szukać innej służby? Żal jej było tego kąta i ludzi, do których się przyzwyczaiła. A może najlepiej opowiedzieć pani wszystko, jak było, a pani chyba uwierzy, że mówi prawdę. Cóż ona winna, że ten chłopak tak się do niej przyczepił, bez najmniejszej zachęty z jej strony. Denerwowała ją otaczająca cisza. Chciała, aby coś się koniecznie działo. Ale nic. Spokój głuchy. Padła przed łóżkiem na kolana i szeptała gorące słowa modlitwy. To ją uspokoiło. Teraz czekała z wytężoną uwagą, czy nie zadźwięczy dzwonek.

Po dziesiątej dopiero powróciła Ida, odprowadzona przez brata, którego po koncercie zaprosiła do siebie.

— Jagusiu, przygotuj szybko do kolacji, rozłóż wędlinę i nakrój chleba — wołała Ida, zdejmując rękawiczki.

Staszek patrzał wyniośle na dziewczynę i rzucił przez zęby:

— To już panienka wróciła z zabawy, no proszę! Sądziłem, że wciągnięta do auta, nie tak prędko powróci.

Jagusia spłonęła szkarłatnym rumieńcem. Ida spojrzała na nią, zdziwiona szyderczym tonem brata.

— Twoja panna Agnieszka czasu nie traci — dodał Staszek — spotkałem ją z młodzieńcem przy otwartych drzwiczkach auta ,spierającą się o coś gorąco. Nie byłem ciekaw, jak się ten spór skończył, poszedłem w swoją drogę, ale faktem jest, że wiejska dzieweczka bardzo się prędko cywilizuje na warszawskim bruku.

— Ależ proszę pana nie obmawiać mię przed moją panią — mówiła Jagusia ze łzami. — Pani wie przecież, że poszłam z Janową do jej znajomej na Pragę. Pani nie od dziś zna Janową. Może za dwa tygodnie, a może po niedzieli tu będzie, to wszystko rzetelnie opowie.

— Więcej wierzę memu bratu, niż twojej Janowej — odrzekła Ida z niezadowoleniem. — Ale dość już tego. Podawaj herbatę, bo jest późno.

Jagusia nie ruszała się z miejsca i patrzyła pełnym gorzkiej wymówki okiem na Stacha.

— Że tyż to tak łatwo powierzyć w cobądź złego— szepnęła rozżalona. — Choćby ci anioł zeszedł z same-

go nieba, a powiedział kto, że grzeszy, to by i zaraz powierzyli ludzie...

Staszek uśmiechnął się, lśniące łzami oczy dziewczęcia wydały mu się jeszcze ładniejsze, niż przedtem.

— Nie powiedziałem przecież, że Jagusia zgrzeszyła — rzekł wesoło — tylko, że ją jakiś chłopak mocno za rękę ściskał, a ona się trochę broniła.

— Ależ tam nietylko był ten Tomek od tapicera, ale i Franek, któryby mię obronił i Janowa.

— Więc był i Tomek i Franek, aż dwóch naraz. O, la, la! Coraz lepiej — drwił Stanisław, z miną wielkiego znawcy serc kobiecych. — Powoli dowiemy się wszystkich tajemnic panny Agnieszki.

— Ja tu nijakich chłopców znać nie chcę... Jeno Władka Sędziuka z naszej wsi... jeno...

Nie dokończyła Jagusia, zakryła oczy fartuchem i zapłakała.

— Jeszcze i Władek?... No to już cała lista kandydatów do korony — śmiał się Staszek nieszczerze.

Ida była mocno podrażniona.

— Dość już tych zwierzeń. Niech Jagusia podaje prędzej i wynosi się do kuchni — zawołała podniesionym głosem, a gdy dziewczyna znikła za drzwiami, zwróciła się do brata tonem napomnienia:

— Ty doprawdy jesteś nieznośny. To zachwycasz się tą dziewczyną bez miary, to znów prześladujesz ją z niezwykłą zaciętością. Mam wrażenie, że wytrącony jesteś zupełnie z równowagi.

Staszek przechadzał się po pokoju, paląc papieros za papierosem.

— Bo pomyśl tylko, Iduś, taka zdawała się niewinna, podziwiałem, jak obrazek, a tu naraz okazuje się taki sam numer, jak wszystkie miejskie kocmołuchy. I po co to ma takie święte oczy, żeby tylko lepiej zwodzić ludzi...

— Przestań już raz mówić o niej, bo na serjo mię irytujesz — zawołała Ida. — Zupełnie, jak Kocio, byle ładny buziak, już oczy zawraca. Myślałam, że masz gust subtelniejszy.

— A ty wciąż o Kociu. Dookoła Wojtek! — odburknął Staszek, wzruszając ramionami. — O czemby się nie mówiło, w końcu zaraz szydło z worka wylezie i zawsze o Kociu musisz napomknąć cośniecoś.

— Co się tobie stało? Jesteś dziś taki dziwny i opryskliwy, że się nigdy po tobie tego nie spodziewałam — mówiła Ida, siedząc z opartymi na stole łokciami i przyglądając się bratu ze zdumieniem. Sądziłam, że tak dobrze zakończymy wieczór gawędką we dwójkę, a tu naraz taki dysonans...

Staszek podszedł pośpiesznie do siostry i obejmując ją ramieniem, ucałował jej odsłonięty karczek na przeprosiny.

— Zgoda panów chrześcijańskich — zawołał wesoło. Przecież pożartowałem tylko, a ty zaraz uderzasz w ton liryczny.

— Dobrze, już dobrze. Pograj mi teraz troszkę, mój Staszku, trzymam pianino specjalnie dla twego użytku, bo sama nigdy go nawet nie otwieram.

— A szkoda, masz bardzo ładne uderzenie. Gdy przyjdę we czwartek, pogramy na cztery ręce.

Staszek zasiadł do pianina i zagrał z wielkiem od-

czuciem barkarolę Chopina. Ida słuchała z przejęciem. Omal już nie zawołała: „Pamiętasz, jak Kocio to lubił“, ale się powstrzymała w porę, przypomniawszy drwinki brata.

— Tak, tak, niepotrzebnie wciąż o nim myślę i mówię. Narażam się na śmieszność. Po co jeszcze wspominać to, co już się nigdy nie nawiąże — powtarzała sobie w duchu, a jednak żal ściskał serce na dźwięk tego zimnego, okrutnego słowa: nigdy!

Staszek zamknął klawiaturę, usłyszawszy brzęk stawianych na stole szklanek i talerzy, a potem z iście młodzieńczym apetytem zawijał zimną pieczeń i wędliny.

— Dziwnie mi u ciebie wszystko smakuje — tłumaczył się, biorąc nową porcję zakąsek.

Myśmy oboje do domowego życia stworzeni i nie lubimy restauracyjnych kolacyj przy jazz-bandach, nieprawdaż? — zauważyła Ida.

— Ty może nie lubisz, a ja wprost nie znoszę — zawołał Staszek gorąco.

Jagusia przesuwała się, jak cień, smutna bezbrzeżnie i przygnębiona. Rzuciła okiem na chryzantemę, wymalowaną przez Idę i oprawną już w ramki i wydało się jej w tej chwili, że ten kwiat martwy ze spuszczoną głową podobny jest do niej. A potem spojrzała na skromny obrazek św. Tereski umieszczony u wezgłowia Idy i zrobiło się jej jakoś ciepło i raźno na duszy.

— Moja śliczna, święta Teresko — mówiły zapłakane oczy dziewczęcia — spraw, żeby odeszły odemnie smutki i mojej pani tyż niechby się już rozjaśniło trochę życie. Śliczności moje. Rzuć na ten dom różę...

Staszek śledził z pod oka dziewczynę. Czynił sobie teraz wyrzuty, że brutalnie postąpił, odsłaniając wypadkiem dostrzeżoną scenkę i doprowadzając tem Jagusię do płaczu. Gdyby przynajmniej Ida nie powiedziała o tem mamie, bo ta zechce napewno, aby dziewczynę oddalić. A kto wie, może doprawdy było tak, jak ona mówi. O przewrotność trudno ją podejrzewać, prędzej przez naiwność swą mogła stać się ofiarą ulicznej napaści. Może należało zatrzymać się, sprawdzić, obronić.

Rycerskie jakieś instynkta odezwały się poniewczasie w duszy studenta. Gdy już włożył palto i szukał w kieszeni drobnych dla stróża, ogarnęła go wielka chęć wsunąć też Jagusi złotówkę pocieszenia i spojrzeć raz jeszcze w te chabrowe oczęta. Szukał pretekstu, aby ją przywołać, a bał się zwrócić uwagę siostry.

— Każ mi, moja droga, podać szklankę wody — rzucił szybko. — Po tych wędlinach mam straszne pragnienie.

— Lepiej wypij piwa — odrzekła Ida.

W chwilę potem Jagusia przyniosła mu do przedpokoju szklankę, napełnioną do połowy pianą. Wypił chciwie, chociaż właściwie mówiąc, grał tylko rolę spragnionego.

— Czy Jagusia na mnie bardzo się gniewa? — zapytał nagle, stawiając szklankę na tacy.

— Gniewać się nie mam prawa — szepnęła — jeno mi bardzo przykro, że pan o mnie tak źle sądzom i że pani moja powierzy...

— A czy Jagusia może powiedzieć: „jak świętą Tereskę kocham, mówię prawdę...“?

Oczy dziewczęcia rozbłysły, jak gwiazdy promienne, gdy składając ręce modlitewnie, powtórzyła z przejęciem:

— Jak świętą Tereskę kocham, mówię prawdę.

Staszek, jakby olśniony bijącą od niej szczerością, gotów był uklęknąć przed nią i ukorzyć się, że śmiał ją porównywać w myśli do różnych kocmołuchów, ale rozumiał jednocześnie cały nonsens podobnych przeprosin, zwłaszcza, gdy Ida mogła lada chwila stanąć w progu. Szybkim ruchem rzucił na tacę pięć złotych i nacisnął już klamkę, gdy naraz Jagusia zapytała zdumiona:

— A to na co, proszę pana?

— Dla ciebie, Jagódko, żeś tak ładnie nam przyrządziła wszystko do kolacji — odrzekł Staszek z miłym uśmiechem.

— Nie potrza. Ja tego nie wezmę... Niech pan zabierze. O, jakie to tutaj dziwne ludzie — mówiła, jakby z przerażeniem.

— To niech Jagusia zaniesie odemnie do kościoła. Dobrze? I pomodli się za mnie. Dobrze?

Jagusia nie mogła teraz odmówić. Trzymając w ręku pieniądze, szepnęła nieśmiało:

— Dobrze.

A Staszek, zbiegając ze schodów, miał jeszcze jej pełne oczy i na głos rzekł: Ależ cudna!...

* * *

Ida nie miała ochoty spać. Krzątała się jeszcze przy tualecie, upinała włosy na różne sposoby, według wzo-

rów, widzianych dziś w koncertowej sali. Nie mając z kim rozmawiać, przywołała Jagusię i kazała jej opowiadać o sobie. Czuła wprost potrzebę słyszenia głosu ludzkiego, przytem dzieje młodziutkiego serduszka zaciekawiały ją nieco.

Jagusia, rozpromieniona, przyniosła list Władka, a potem w prostych słowach mówiła, jak się kochają i jakie ona ,Jagusia, ma złe warunki w domu i że stary Machnicki jest sknera i wyzyskuje pracę siostrzana.

— A ten Tomek i Franek to też znajomi z twoich stron? — zapytała Ida.

— Oni tutejsi som. Nie mam z nimi nijakiej znajomości, tyle, co bez Janowę, co z Szymonową, matką Franka, przyjaźnią się z dawnych lat. A ten ich sąsiad, Tomasz Wigoń, już pierwszego dnia, jakeśmy przyjechały koleją do Warsiawy, uczepił się do mnie i tera oawoził nas z Pragi takim wielguskim ototem, co to leci, kieby ptak.

— Autem... chcesz powiedzieć?

— O to, to. Przyczepa on jest i myśli, że każda na niego poleci. Jakie te mężczyzny głupie som, panienusiu złota.

— I my głupie, moja Jagusiu — odrzekła Ida z uśmiechem. — Jak się kochanie uczepi, to człowiek najmądrzejszy głupieje. A cobyś ty zrobiła, gdyby ciebie twój Władek zdradził?

— Niby jak?

— Żeby, ożeniwszy się z tobą, za innemi się uganiał.

— O, nie daj Boże! Ale to czasem tak z miłowania wielgiego jeno się przywidzi. Nie potrza jemu swoim frasunkiem głowy zawracać, boć może ino tak się wydaje; musić on ciągiem swoją kocha, a z inszymi żartuje.

— Tobyś, widzę, przebaczyła mężowi niejedno — zaśmiała się Ida — a ja jestem zacięta i tak nie potrafię.

— A niech pani sprobuje tę złość z serca wyrzucić. Zara łżej będzie.

— Gdyby to można — szepnęła młoda kobieta, z cichem westchnieniem. — Ty masz prostą naturę i możebyś potrafiła, a mnie to za dużo kosztuje...

— Niech paniusia się zmoże i wsyćko zapomni. Ja tak od scyrego serca radzę. Bo i jakie to życie każdemu po osobnu! Ksiądz złączył, Bóg złączył, rozrywać się nie godzi. Maryśka mi powiadała, co pan je bardzo dobry i paniusię bardzo kocha. Przychodził do starszej pani i tak ją ładnie prosił i po rękach całował, coby paniusi wyjaśniła, jako on je zawdy dla paniusi taki sam, jak był wprzódy. A paniusia ciągiem ino: „nie wybaczę, nie daruję". Tak sobie paniusia na hambit wzięna. A to całkiem źle.

Idę rozbawiło ogromnie rozumowanie dziewczęce. Czuła, że Jagusia mówi istotnie „ze scyrego serca" i proste słowa sprawiły na niej dziwnie kojące wrażenie. Jagusi też ciężar jakby spadł z duszy, gdy wypowiedziała swe troski. Przekonała się, że pani nie patrzy na nią krzywo, wierzy, że jest uczciwą dziewczyną i z byle kim się „nie zadaje". Jeno ten pan Stanisław tak się wyśmiewał, że aż bolesno było słuchać. Ale potem to

ładnie postąpił, że niby dał na kościół tę piątkę. Nie mogła utaić tego faktu przed panią. Ida była zdumiona.

— Coo? Staszek polecił tobie zanieść te pieniądze do kościoła? Świat się kończy — zawołała. — Nic już tego chłopca nie rozumiem.

— Jutro zaraz włożę do skarbonki w kościele — mówiła Jagusia, przejęta swą misją.

W takim razie i odemnie także — szepnęła pani Ida nieśmiało i druga piątka znalazła się wnet w ręku dziewczyny.

— To już może dać na mszę, albo co? — rzekla Jagusia rozradowana.

— Zrób, jak chcesz. Wiem, że mi dobrze życzysz, odpowiedziała Ida. Masz jeszcze dziesięć złotych. Poprosisz o mszę przy ołtarzu św. Tereski...

— Jakby mi paniusia z ust wyjęła. Ja już dawno chciała pani powiedzieć i nie śmiałam. Myślę ja sobie: to nic, z pierwszych zarobionych pieniędzy dam od siebie na mszę św. na intencję pogodzenia się mojej pani z mężem. A potem, jak Bóg da. Ale mi się widzi, że pomoże.

— Dobre dziecko z ciebie, moja Jagusiu — szepnęła Ida, wzruszona tym niezwykłym objawem życzliwości. Daj ci, Boże, żeby i tobie wszystko tak się złożyło, jak tego pragniesz.

Jagusia ucałowała rękę Idy. Obie miały łzy w oczach, te dobre łzy, jakie daje z głębi serca płynąca radość.

* *
*

Obiad czwartkowy zupełnie się udał. Jagusia doskonale wywiązała się z zadania, pogodny nastrój panował przy stole. Staszek wodził oczami za Jagusią i znajdował coraz nowe plusy w jej urodzie. Ida podżartowywała sobie z tych zachwytów, ale przyznała, że dziewczyna ma ogromne moralne zalety i działa swym optymizmem bardziej kojąco, niż różne leki, dawane jej ostatniemi czasy na uspokojenie nerwów.

— Proste, czyste natury, mają w sobie coś z polnych kwiatów, przy których oranżeryjne wydają się sztuczne i sztywne. Właściwie mówiąc, nie odpowiadają mojemu usposobieniu — zakonkludował Staszek. — My, ze wsi rodem, mamy pod tym względem inne gusta, niż ludzie z miasta; razi nas szych, szablon, a pociąga prostota. Powinnabyś też w swych artystycznych pracach zwrócić się raczej do motywów swojskich. Te twoje chryzantemy są jakieś martwe i nie przemawiają mi do duszy.

— Smutny kwiat, jak mówi Jagusia — uśmiechnęła się Ida na to określenie — a jednak wspaniały swą bajeczną egzotycznością; ma dla mnie urok tajemniczości. Biała chryzantema, to niby zaklęta królewna, czy nie znajdujesz tego?

— Poczekaj. Napiszę sonet na ten temat — zawołał Staszek, biorąc ołówek do ręki. — Mam w tej chwili wizję poetycką. Zobaczysz, wyłonię wnet arcydzieło. „Mak polny i chryzantema“.

Począł pisać pośpiesznie. Ida cieszyła się, że Sta-

szek uczuł przypływ natchnienia. Udatne jego poezje nosiły piętno uczucia, ujętego w wytworną formę. Siostra przepowiadała mu świetną przyszłość na drodze twórczej i żałowała, że musi kuć prawo, tak mało odpowiadającego jego aspiracjom literackim.

Jagusia posprzątała ze stołu i podała czarną kawę w saloniku. Staszek pisał przy biurku. Ida na bujaku siedziała obok niego.

— Niech pani powie panu Stanisławowi, żeby przyszedł w przyszły wtorek na mszę — szepnęła Jagusia na ucho.

Staszek odwrócił się nagle, zasłyszawszy swe imię.

— Co ci powiedziała? — zapytał zaciekawiony.

Ida ruchem ręki odprawiła Jagusię, aby nie płoszyła Staszkowi natchnienia.

— Potem powiem — odrzekła — to nasza mała tajemnica.

Kołysząc się na fotelu, myślała o tem, gdzie w tej chwili przebywa Konstanty? Czy jeszcze pragnie pogodzenia? W jakiej formie dałoby się je przeprowadzić? Co Staszek powie na to, jeżeli ona uczyni pierwszy krok ku pojednaniu?...

— Niemożliwe — powiedziała sobie wreszcie — nigdybym sobie tego nie darowała. Trzeba koniecznie, żeby on się upokorzył. Ale jak długo ma trwać ten stan niepewności?... Możeby złożyć wizytę Bielskiej, u której napewno Kocio bywa?

Ma nawet okazję, gdyż urządza się kiermasz dobroczynny i proszona jest o zebranie szkiców kobiecych. Ale czy ta bytność u kuzynki Kocia nie będzie po-

czytaną za krok niewłaściwy? Naturalnie, mówić się musi o jego portrecie. A może zastać tam Kocia?... Nie. Niepodobna. Napisze do niej. Tak będzie najlepiej. Uprzejmy liścik zaniesie Jagusia, choćby dziś jeszcze. Może Bielska poprosi ją do siebie dla wybrania obrazka. Może przy tej sposobności zbliży się z nią, dowie się cokolwiek o mężu. Z pewnością podczas pozowania gawędzili nieraz o różnych sprawach; Kocio jest tak ekspansywny, musiał opowiadać o zerwaniu. Pałała teraz chęcią dowiedzenia się, co Bielska powie? Nie myślała być zazdrosną o artystkę, której brzydota broniła całkowicie od podejrzeń.

Ida ożywiła się, zajęta myślą rzucenia mostku pomiędzy sobą i Kociem i układała w pamięci liścik do jego krewnej. Będzie miała czego oczekiwać w tej bezmiernej szarzyźnie obecnego życia.

Staszek tymczasem napisał parę strof w notatniku, ale niezupełnie był z nich zadowolony.

— Trudno mi jakoś idzie, wieczorem to trochę oszlifuję i dopiero potem przeczytam ci — rzekł, chowając notatnik do kieszeni. — A teraz powiedz mi, co leśna boginka szeptała ci o mnie na ucho?

— A no, spełniła twe polecenie, oddała pieniądze do kościoła, ja też poszłam za twym przykładem — mówiła Ida filuternie — a teraz Jagusia upomina się, żebyśmy byli razem na mszy we wtorek o dziesiątej. Czy masz ochotę?

— Niby dlaczego taka uroczystość? — zapytał Staszek zdziwiony.

— To już sprawa naszej misjonarki, której tak bar-

dzo o to chodzi, żeby miłość dla swej ukochanej świętej Tereski we wszystkich rozbudzać. Przyjdź po mnie, pójdziemy razem.

— Nie wiem. Zobaczę — odparł wymijająco. — Widzę, że ta mała ma jednak na ciebie wpływ, moja Ido.

— W każdym razie dodatni — odparła Ida.

— Nie przeczę. Ale i ty powinnabyś się nią zająć trochę. Uczyć ją, bo masz chyba dość wolnego czasu. Ja bym z przyjemnością zabrał się do jej kształcenia, ale...

— O, co to, to nie! — zaprotestowała Ida ze śmiechem. — Zanadto masz zapalną naturę i za bardzo zachwyca cię ten polny kwiatek. Lepiej podziwiaj go zdaleka.

— Niestety, niestety — odrzekł Staszek z komicznym patosem. — Nie wierzą ludzie w niewinność zamierzeń...

— Zwłaszcza, gdy chodzi o szesnastoletnią uczennicę dwudziestoletniemu młodzieńcowi.

— Nie ujmujże mi lat, moja droga, mam dwadzieścia dwa skończone.

— To nie zmienia sytuacji. Ale masz rację. Nie pomyślałam dotąd o tem, że powinnam trochę zabawić się w pedagoga i codzień odbyć lekcje z tą dziewczyną. Sprawi mi to przyjemność i będzie z korzyścią dla niej.

— A ja w roli egzaminatora zjawię się od czasu do czasu — przekomarzał się Staszek — będę musiał nieraz skrytykować twoje wykłady...

— Aby spojrzeć zarazem w ślipki ładnej dziewuszki. Ejże, ejże — groziła pani Ida żartobliwie. — Będę

musiała teraz na ciebie uważać, żebyś na bałamuta się nie wykierował.

— Powiem ci szczerze, że tak mam dosyć tych naszych panien z dancingów, pensjonarek, marzących o sławie bosonogich tancerek, mówiących rzeczy zdrożne, od których, jak to powiadają, więdną uszy, że ta dziewczyna nie spaczona modernistyczną kulturą, ma dla mnie stokroć więcej uroku, niż tamte malowane lale. Naiwność szczera, dziecięca wiara, jasne spojrzenie oczu, w których przejrzeć się można, jak w czystym zdroju...

— Przerażasz mnie Staszku — zawołała Ida—pleciesz, jak Romeo rozkochany. Kobieta powinna być przedewszystkiem inteligentną towarzyszką mężczyzny.

— Zapewne inteligentną, lecz nie przeinteligentnioną, bo to znów „inna para rękawów“, a przeinteligentnione, przesubtelnione, nieraz psują życie.

— To niby do mnie stosujesz?

— Chociażby nawet. Nie gniewaj się, ale całe to wasze małżeństwo nie dało wam upragnionego szczęścia. Kobieta mniej przesubtelniona, powiedziałaby: „kocham, więc przebaczam“, a ty...

— Staszku, Staszku. I ty to mówisz, ty, który podtrzymywałeś mnie dotąd i byłeś w sporach z mamą po mojej stronie? Nic nie rozumiem, co się z tobą stało?...

Ida zarzuciła ręce pod głowę i patrzyła na brata zdumionemi oczyma.

— Tybyś mógł palnąć głupstwo i w pierwszem lepszem wiejskiem cielątku rozkochać się na umór. Widzę to w twojem spojrzeniu.

Staszek zastanowił się, jakby patrząc w głąb siebie.

— Tak dalece może nie — rzekł wreszcie — ale czuję w sobie zwrot nowy ku prawdzie i prostocie, widzę jasno w tem treść życia.

Zapanowała chwila milczenia.

Ida zastanawiała się nad słowami brata, które istotnie wydały się jej szczere i proste.

— Skąd mu się to wzięło? — pomyślała. — Widocznie nie znałam go do głębi.

Staszek zerwał się nagle, spojrzał na zegarek i począł się żegnać.

— Głowa mię boli trochę, muszę pójść przejść się — rzekł, motywując nagłe odejście i serdecznie uścisnąwszy siostrę, wybiegł pośpiesznie, żeby trochę zebrać myśli i zastanowić się nad sobą.

— Ida ma poniekąd słuszność, gotów jestem w tej małej się zadurzyć, taka od niej promienistość czystego serca bije. No, no. Trzymaj się Stachu, nie bądź szalony!...

Pobiegł w Aleje zaczerpnąć świeżego powietrza. Wszędzie parki, pareczki, czułe spojrzenia, uśmiechy... Dostrzegły go znajome panie i poczęły zalotnie przywoływać, aby im towarzyszył. Powitał je z roztargnieniem i tłumaczył się, że musi jaknajrychlej wracać, żeby się nie spóźnić na jakieś studenckie zebranie. Kłamał, jak z nut, ale nie było innego sposobu uwolnić się od natarczywej uprzejmości pań, które szły same i rade były mieć ładnego chłopca przy boku.

Ida tymczasem zasiadła do listu. Szło jej niesporo. Pisała, darła, zaczynała na nowo. Wreszcie wykombino-

wała liścik bardzo wytworny i zadowolona, zapieczętowała, poczem wręczyła Jagusi, dokładnie opowiedziawszy, dokąd ma go zanieść. Jagusia już o tyle była oznajomiona z miastem, że odnalezienie adresu nie przedstawiało dla niej wielkiej trudności.

Ida postanowiła czekać w domu jej powrotu. Serce biło jej, jak młotem, miała wrażenie, że uczyniła krok, który musi zaważyć w jej życiu. A jednak to było właściwie takie nic. List koleżeński do artystki, z którą razem brała lekcje malarstwa, a potem rozeszły się ich drogi. Bielska wyjechała na dalsze studja zagranicę, a Ida wyszła za mąż i przerwała czasowo swe prace. Dopiero samotność po rozejściu się z mężem skłoniła ją do szukania rozrywki w tem absorbującem zajęciu.

Wzięła książkę do ręki, przerzucała stronice, nie mogąc jednak skupić myśli. Wysunęła następnie szufladę biurka i wzrok jej padł na paczkę listów, związanych złotym sznureczkiem. Były to narzeczeńskie listy Kocia. Nie zniszczyła ich po zerwaniu z mężem, nie miała na to siły, ale nie otwierała oddawna szuflady, w jakiej spoczywały. Teraz nagle przyszła jej chęć przejrzenia tych kartek, zapisanych szerokiem, śmiałem pismem. Chciała wypróbować siebie, czy też wydadzą się jej te listy szablonowe i banalne, czy drga w nich szczere uczucie? Tak. Pisane są z młodzieńczym zapałem, bez patosu, bez sztuczności. Już dotknięcie samo tych pamiątek sprawia, że krew uderza jej do głowy, pulsa biją mocno, przeżywa niepokoje oczekiwania i radość otrzymywania serdecznych wynurzeń kochanego człowieka.

Czytanie zapełniło czas pani Idzie do tego stopnia,

że z pewnem zdziwieniem spojrzała na powracającą już Jagusię.

— Masz odpowiedź? — zapytała z żywością.

— Ach, proszę pani. Co to było z tym listem! Zaniosłam ci tam na czwarte piętro i pukam do drzwiów, aż tu otwiera mi jakiś pan ładny, wysoki; chwycił list, przeczytał na kopercie i pyta odrazu, czy to od pani? A tak, powiadam, a on aż poczerwieniał z tego ukontentowania. Zaniósł do pokoju, a potem wrócił i jął przepytywać, jak i co, czy paniusia zdrowa, jak wygląda? Czy dawno służę u pani? Już odrazu pomiarkowałam sobie, że to nie kto inszy, jeno ten sam, co na fotografji jest w sypialce. Tedy ja mu powiadam tak a tak. Pani mojej tęschno, że pana nie widać, a on spokorniał jakoś i mówi: „Kiedy ona nie chce mnie widzieć na oczy". A ja jemu na to: nieprawda, to się tak może zdawać temu, kto nie zna dobrze mojej pani. Toć patrzę na nią codzień i widzę, że się marnuje całkiem od tego wielgiego kochania.

— Jagusiu! Jakże można! Coś ty zrobiła najlepszego? — zawołała Ida. — Kto ci pozwolił wdawać się w takie rozmowy? Miałaś list oddać, zapytać, czy będzie odpowiedź i więcej ani słowa. To może wyglądać, jakbyś była podmówiona do takiego gadania. Ach! to okropne, doprawdy... Coś ty narobiła!...

— Niech się pani nie frasuje, nic złego się nie stało — twierdziła Jagusia rozpromieniona. — Już ja po oczach tego pana widziała, jak on bardzo panią kocha. I niech się paniusia moja nie gniewa, ale ja jemu powie-

działa, żeby przyszedł we wtorek do kościoła, bo moja pani tam będzie o dziesiątej.

Ida aż ręce złożyła w przerażeniu.

— I powiedziałaś może jeszcze na jaką intencję dałaś na nabożeństwo? — zapytała niemal groźnym tonem. — Tegoby jeszcze brakowało...

— Nie, nie mówiłam, Boże broń, jeno, że przepytywał, kiedy pani z domu wychodzi i że takby chciał na panią popatrzeć choćby z daleka. To ja powiadam: pani nieraz całkiem nie wychodzi, tyle co na obiad do starszej pani i z powrotem zaraz przybiegnie. A już to wiem, że we wtorek to pani sobie postanowiła napewno pójść na dziesiątą do kościoła. A czy to pani będzie wadziło, że pan popatrzy sobie z boku?

Ida bezradnie wzruszyła ramionami.

— Czy na list niema odpowiedzi? — zapytała chmurno.

— Ta pani kazała powiedzieć, że sama przyńdzie jutro abo pojutrze.

— To dobrze.

Teraz Ida miała o czem myśleć i projektować, jak przyjmie Bielską, jaka będzie pomiędzy niemi rozmowa. Postanowiła olśnić gościa uprzejmością, aby następnie wychwalała ją przed mężem. Niechaj Kocio dowie się ze strony, jak umie być czarującą dla tych, którzy są dobrzy dla niej. Swoją drogą Jagusia jest niemożliwa z tą swoją bezgraniczną szczerością, zastanawiała się dalej Ida; dyplomatycznych zdolności i finezji trudno coprawda od niej żądać, ale znów żeby tak odrazu wszystko wygadać... Powiadają wszakże, że szczerość bywa naj-

lepszą dyplomacją, kto wie, czy i tym razem nie wyjdzie na dobre? W głowie młodej kobiety panował zamęt nieopisany. Czas jej się dłużył, wskazówki zegara zdawały się nie posuwać wcale. Pragnęła, aby już było jutro co prędzej. Układając się do snu, rzuciła okiem na skromny obrazek, przez Jagusię zawieszony na dywanie przy łóżku; nagle osunęła się na klęczki i, ukrywszy twarz w dłoniach, poczęła szeptać słowa gorącej modlitwy.

Ta chwila podniesienia ducha sprawiła, że Ida uczuła niezmierną błogość w sercu, jakgdyby mgła jakaś rozwiała się, stajały lody — dziwna słodycz napełniła duszę zgorzkniałą...

Jakże modlitwa dodaje sił do życia... jak łagodzi cierpienie! Dlaczego dotąd zaniedbywałam tego prostego, a radykalnego środka ukojenia?

Takie refleksje przemknęły przez myśli zwichrzone młodej kobiety. Ida była pewną, że ją nikt nie widzi, że może swobodnie rozpamiętywać swe wrażenia. Nie podejrzewała nawet, że przez niedomknięte drzwi od małego korytarzyka, wiodącego do kuchni, patrzyło w tej chwili na nią dziewczątko bose w jednej koszulinie, że w chabrowych oczach błysnął ogień wielkiej radości i wesela. Po raz pierwszy ujrzała Jagusia swoją panią zatopioną w modlitwie na klęczkach.

— Tera już wsyćko będzie dobrze... Już pani całkiem się zmieni. Boże miłosierny daj jej pocieszenie. Święta Teresko, rzuć jej z nieba róże.

Tak mówiła Jagusia, kończąc swój pacierz wieczorny i w swej zacisznej alkowie układając się do snu.

* * *

Od czasu wspólnej wycieczki w samochodzie, Franek i Tomek byli ze sobą na wojennej stopie. Przechwałki Tomka, zapewniającego, że zdoła naiwną dziewczynę zbałamucić, oburzały do najwyższego stopnia poważnie traktującego życie robotnika. Franek czuł głuchą nienawiść do dawnego przyjaciela i pomimo, że nie zamierzał teraz oświadczyć się Jagusi, gdyż położenie jego materjalne nie pozwalało mu jeszcze marzyć o ożenku, jednakże czuł się jakoby moralnym opiekunem dziewczęcia; całe uczucie, jakie miał dla zmarłej siostry przelał niejako na tę dziewczkę wiośnianą. Nieraz budził się w nocy z myślą na jakie niebezpieczeństwo może być narażoną. Jak ją ochronić od tysiąca takich Tomków, szukających coraz nowych zdobyczy?...

Chociaż Janowa mówiła jego matce o miłości Władka do Jagusi, przypuszczał, że oddalenie te uczucia ochłodzi i nie obawiał się dalekiego rywala, wyobrażał sobie natomiast, że przy usilnej pracy zdobędzie lepsze stanowisko, które mu pozwoli Jagusię, jako żonę pod swój dach wprowadzić, zapewnić jej byt i otoczyć wygodą. Jakieżby to wymarzone rozpoczęło się wtedy życie!

Ale przedewszystkiem musi dbać o matkę, której jest obecnie jedyną podporą. Obraz własnego szczęścia odsuwał na plan dalszy, dążąc do spełnienia sumiennie najbliższych obowiązków.

Tomek gwizdał na wszystko, co nie wchodziło w zakres jego przyjemności, każda praca była dla niego ciężką niewolą, a zabawa jedynym celem. Starał się nie-

raz wciągnąć Franka do hulanek, ale trafiał zawsze na stanowczy opór. Franek nie dawał się nakłonić do kart i pijatyk, natomiast potrafił niejednokrotnie namówić lekkomyślnego chłopaka do wspólnych przechadzek za miasto w dzień świąteczny, uczył go podziwiać przyrodę w jej różnych przejawach i skłaniał do czytania.

W takich momentach Tomek stawał się poważny, wygłaszał nawet dość ciekawe zdania, opowiadał rzeczy przeczytane, głównie dotyczące dalekich mórz i lądów do których miał specjalne upodobanie. Ale te wszystkie porywy trwały zwykle niedługo. Niespokojna natura Tomka kazała mu wciąż zmieniać wrażenia, dziś bawiło go jedno, jutro drugie. Ubolewał niekiedy przed Frankiem nad swem usposobieniem, skłaniającem go raczej ku złemu, a jednak nie chciało mu się przerobić siebie i dobre rady Franka szły na marne. Od kiedy zaś Tomkowi wpadła w oko Jagusia i żądał od przyjaciela pomocy w zdobyciu łatwowiernego, jak sądził, serca, Franek srożył się na każde o niej wspomnienie.

— Niedoczekanie, aby była twoją! — rzekł wreszcie pewnego razu, gdy Tomek, podpiwszy trochę, począł mówić o niej dość lekceważącym tonem.

— A ty zato doczekasz, że cię dźgnę nożem w biały dzień, ty, moralisto zatracony! — zawołał Tomek. — Udajesz przyjaciela, a chcesz zagarnąć sobie upatrzoną przezemnie zdobycz. Nic z tego. Nie ja będę, jeżeli gdzie tej dziewczyny nie przyłapię i wiedz o tem, że zmiotę ci ją z przed nosa. Jakem Tomasz Wigoń.

Frankowi krew zbiegła do serca, blady był, usta

mu drżały, wzrokiem tylko wyrażał pogardę dla przeciwnika.

Podniecony paru kieliszkami wódki, Tomek szukał widocznie awantury i gadał rzeczy obraźliwe z zamiarem wyprowadzenia Franka z równowagi. Spotkał się z nim na ulicy o parę kroków od domu, w którym obaj mieszkali. Franek zawrócił z drogi i cofnął się do bramy, jakby zamierzając wrócić do mieszkania. Wigoń dopędził go i krzyknął nad samem uchem:

— Podły tchórz, kanalja!...

Franek odwrócił się i uderzył w twarz Tomka, aż się rozległo echo. W tej chwili błysnął nóż w ręku zuchwalca. Krótki, przenikliwy krzyk Franka dał się słyszeć, zachwiał się, ugodzony w lewy bok tuż koło serca.

Wyległa wnet moc ludzi z różnych stron podwórka. Widok krwi obudził żywe zainteresowanie. Zamknięto wnet bramę, przyzwano policjanta, ktoś zaproponował telefonować po Pogotowie, ale ranny, przyciskając mocno rękę do boku, prosił aby tego nie czyniono.

— Zaprowadźcie do matki — rzekł słabym głosem. — Może myśleć, żem zabity, a to nic, nic, przejdzie zaraz.

Ale rana była głęboka i niebezpieczna. Gdy przybył lekarz, mieszkający w sąsiednim domu, zmarszczył brwi, nałożył opatrunek i powiedział, że nie obejdzie się bez przewiezienia do szpitala, gdyż rana jest ciężka i mogą zajść komplikacje, wymagające starannego i długiego leczenia.

Tomka zaprowadzono do komisarjatu. Tłum ga-

piów rozproszył się, komentując zajście, każdy na swój sposób.

Rozpacz matki Franka nie miała granic. Bezwładna, patrzyła z boleścią na syna, który oddychał ciężko i po dużej utracie krwi, wyglądał martwo - blady. Usłużne sąsiadki z sutereny uwijały się przy chorym, jednak wyraz „szpital“ wciąż powracał wszystkim na usta.

— Tam może go jeszcze odratują — szepnęła jedna z kobiet — a tu chyba nic z niego nie będzie.

— Wygląda całkiem jak nieboszczyk. I trzebaż takiego nieszczęścia na tę biedaczkę Szymonową. Niedawno córkę pochowała, a teraz znowu ten...

— Taki syn dobry, że daj Boże każdemu.

— O Jezu! O Jezu! — biadały pomiędzy sobą, wzdychając żałośnie.

A Franek leżał na posłaniu z zamkniętemi oczyma, mocno obandażowany. Dochodziły go głosy ludzkie, jakby z bardzo daleka. Nie mógł sobie zdać sprawy dlaczego tyle kobiet w napiętych szarych chustach uwija się po izbie i coś szepcą, czego on wcale nie słyszy i nie rozumie.

Przypomniał mu się naraz pogrzeb siostry. Było tak samo dużo obcych ludzi, gdy wynoszono trumnę białą. Może i jego będą stąd wynosili tak samo po tych koszlawych schodach, kto wie? jutro... pojutrze może...

Zrobiło mu się naraz strasznie żal życia. Jakto?... Już?... I to ma być koniec. Już?... Niepodobna... Głupie pchnięcie majcherkiem i po wszystkiem?...

Co się stanie z matką? Kto ją przygarnie?... A Jagusia, gdy się dowie, czy pożałuje?... Ach, jeśliby kto

dał jej znać, możeby przyszła?... Zobaczyć ją jeszcze raz, choćby na krótką chwilę... Spojrzałaby na niego swemi chabrowemi, zdziwionemi oczami i lżej by było umierać... O nie! nie!... Stokroć ciężej jeszcze byłoby odchodzić od życia!... Ale dlaczego ta myśl o śmierci?... Nie czuje bólu, gdy tak leży na wznak spokojnie, cicho jak w trumnie... Tylko przy najlżejszem poruszeniu... Tak! Głęboko dźgnął nicpoń... Niechby go wszakże nie karali surowo. Gdyby był trzeźwy, to co innego, ale Tomek ledwie się na nogach trzymał, oczy mu latały nieprzytomnie. Należało zmilczeć i usunąć się z drogi, ale krew w żyłach zawrzała, nie sposób było pozostawić obelgi bez odpowiedzi.

Frankowi myśli łopotały w głowie, jak stado ptaków. Dlatego tak głowa strasznie boli, że one wciąż łopoczą, jakby skrzydłami uderzały o czaszkę. Jak pulsa w skroniach biją!...

A matka, biedactwo kochane, podnosi się na łokciu i patrzy, wciąż patrzy w jego stronę... Muszę siłą woli zmóc ból i zatrzymać w sobie życie dla niej, dla jej spokoju — powtarzał sobie chory i krzepił się tem postanowieniem, jakgdyby był mocen je wykonać.

Doktór z Kasy Chorych odwiedził parę razy Franka i powiedział, że nieodzowny jest szpital. W domu za nic nie ręczy, gdyż warunki są fatalne. Ale szpital w pojęciu półinteligentów uważany jest jako wrota do mogiły. W najgorszych okolicznościach wolą pozostać wśród swoich. Franek udawał polepszenie, nadrabiał miną i twierdził wciąż, że najdalej za tydzień pójdzie już do fabryki.

Matka cieszyła się i wierzyła słowom syna, a tymczasem rana zaogniała się coraz bardziej i poważnie groziła życiu jedynaka.

* * *

W dzień umówiony pani Ida wstała wcześniej niż zazwyczaj, nie piła kawy w łóżku, lecz zerwała się już o ósmej na równe nogi i na wpół do dziesiątej była zupełnie gotowa do wyjścia, gdy Staszek wstąpił po nią.

— Co za dziwy! Co za dziwy!... Byłem pewien, że czekać będę conajmniej kwadrans, zanim zondulujesz włosy i nałożysz kapelusz — żartował Staszek. — Widzisz, jak jestem powolny twej woli. Idę szukać dobrych natchnień z nieba. Opuszczam z tego powodu wykład, na którem powinienem być koniecznie.

Ida spojrzała na niego badawczo, a następnie rzekła pośpiesznie:

— Jeżeli tylko chodzi o ważny wykład, zwalniam cię od danego słowa. Radzę ci pośpieszyć do uniwerku, a ja pójdę sama. Zobaczymy się przy obiedzie u mamy, tymczasem do widzenia, obawiam się spóźnić.

Staszek zauważył nerwowy ton Idy i nie mógł zrozumieć co zaszło. Siostra zataiła przed nim pisanie listu do Bielskiej, rozmowę Jagusi z Konstantym, a nawet bytność jego kuzynki u siebie.

Nie chciała teraz mieć świadka spotkania z Kociem.

Szła szybko, pożegnawszy brata na ulicy.

W kościele widziała same obce twarze i to ją uspokoiło nieco. Tylko w kąciku przy ołtarzu modliła się gorąco Jagusia. Wyraz promiennego skupienia na jej twa-

rzy podziałał ożywczo na Idę. Uklękła również i utkwiła oczy w obraz młodocianej świętej. Czuła przypływ szczerej pokory i modliła się raczej duszą niż słowami. Coraz bardziej poczynała rozumieć doniosłe znaczenie zjednoczenia się myślą z Bogiem i płynące stąd ukojenie. Miała nawet wrażenie żalu, gdy msza się skończyła i ksiądz wymawiał sakramentalne „Ite missa est“. Klęczała jeszcze długą chwilę, pogrążona w błogim nastroju. Wychodziła z kościoła pogodna i pokrzepiona na duchu.

Na schodach stał Konstanty, jakgdyby w wyczekującej postawie. Zgrabna jego sylwetka zarysowała się wyraźnie na jasnem tle nieba.

Ida pierwsza wyciągnęła do niego rękę, a łagodny ciepły uśmieszek zaigrał na jej ustach. Zdawałoby się, że wita go, powracając z dalekiej podróży. Kocio ucałował gorąco podaną sobie rękę i szepnął z dziwnem u niego onieśmieleniem:

— Czy mogę pójść razem?...

Ida skinęła głową. Szli w kłopotliwem nieco milczeniu. Przypomniały się naraz obojgu chwile narzeczeństwa i te drobne dąsy o „byle co“, po których następowała zwykle jak najlepsza zgoda.

Skierowali się w Aleje i w tem rannem samnasam otworzyły się dwa serca tęskniące ku sobie.

— Jak ty ogromnie wypiękniałaś — wyrwał się przyciszony okrzyk Kocia — masz teraz taką słodycz spojrzenia, tyle tyle uroku... Mówiła to również Bielska, która jest formalnie tobą zachwycona.

Rozmawiali o portrecie, potem o różnych drobnych

sprawach i wspólnych znajomych, jakgdyby nigdy nic pomiędzy nimi nie zaszło. Mieli jednak wrażenie, że jest im ogromnie dobrze razem i to obopólne przeświadczenie odbijało się na ich rozpromienionych twarzach.

Stanęło na tem, że od dziś znowu będą razem, a Kocio przyrzekł, że już nigdy nie da powodu do przykrych scysji i całował kochane rączki po sto razy.

— Zobaczysz jak mama ucieszy się ogromnie, gdy jutro poprosimy ją do siebie na podwieczorek — rzekła Ida wesoło. — Mama stale ci sprzyja. Staszek też z pewnością się ucieszy. A wyobrażam sobie jak moja Jagusia będzie uszczęśliwiona, bo ona do pewnego stopnia odegrała rolę mediatorki, nie mając pojęcia o wszelkich wybiegach.

— Sympatyczne jakieś stworzenie i jak zauważyłem, bardzo do ciebie jest przywiązana — odrzekł Konstanty. — Czy dobrze się sprawia?

— Jestem z niej, jak dotąd, zupełnie zadowolona— odparła Ida — nie wiem jak będzie teraz?

Spojrzała na męża pytająco. Przemknęły w jej myśli jakieś obawy, ale Kocio uśmiechnął się pobłażliwie.

— Mnie możesz być pewną. Jestem tak szczęśliwy, że cię odzyskałem, że nigdy nie zamącę ci spokoju. Samotne życie ciężyło mi niedouwierzenia.

— I mnie również — szepnęła Ida — a lekki rumieniec zabarwił jej policzki przy tem wyznaniu.

Rozstali się w najlepszej zgodzie, tegoż dnia jeszcze Konstanty miał sprowadzić swoje rzeczy do wspólnego mieszkania.

* *

*

— Takie wielgie nieszczęście. O rety! biadała Janowa — wpadłszy pewnego poranku do Jagusi i łamiąc ręce aż kości trzeszczały.

Dziewczyna zbladła z przerażenia. Obawiała się dowiedzieć jakich złych nowin o ojcu, a może Władka co złego spotkało?...

— Nie lękaj się o nich, tam wsyćko jak najlepiej — potem opowiem — aliści Frankowi niebożątku się zmarło! Szymonowa całkiem straciła głowę i gada od rzeczy. Już ją tam pewnie do Jana Bożego zabrali, bo aż policja się w to wdała. Chryste Panie! Jakie wielgie strapienie! Gdzie ja tera biedna przytulę głowę, gdy wypadnie przyjechać z kurczakami do Warsiawy!

Jagusia słuchała szczegółów tragicznego wypadku ze łzami w oczach. Szczery żal ścisnął jej serce; tak rzadko jeszcze obraz śmierci miała przed oczyma, oprócz matki nikogo nie widziała na marach. Oburzyło ją, że Tomek stał się przyczyną nieszczęścia, gorzej jeszcze zmartwiła ją wieść, że była poniekąd przyczyną zajścia, bo Franek przed zgonem mówił o tem i prosił, aby jej powiedzieli, że z myślą o niej schodzi ze świata.

Wszystko to spadło na Jagusię, jak grom z jasnego nieba. Przygnębioną się czuła i ból ścisnął jej serce. Siedziała teraz z twarzą ukrytą w dłoniach i rzewnie płakała.

— A tera to ci powiem inszą nowinę. Bez to płakać nie będziesz, ino uradujesz się Jagusiu, choć to tyż wedle śmierci czyjejś... A to je tak — ciągnęła Janowa. — Starego Machnickiego już pochowali. Nikomu, po prawdzie mówiąc, nie był potrzebny i nikt go tam nie żałuje, ale mądry stary wszyćko zawczasu na Władka

przekazał i tera ty będziesz gospodynią u siebie. Nijakiej już niema przeszkody, żebyście się pobrali i żyli zgodnie, jak Bóg przykazał.

Jagusia podniosła załzawione oczy i słuchała ze zdumieniem jak jakiejś bajki. To wszystko, co majaczyło gdzieś w dalekiej perspektywie miało się spełnić tak prędko!...

— Cóż mówi Władek? Gadajta żywo — rzekła zmieszana.

— A co ma mówić? Pisanie tu znów od niego mam dla ciebie. Chce jaknajprędzej sprawić wesele. Jużci. I z ojcem twoim i z macochą były gadania. Ociec ci da tę jałóweczkę co ci tak za nią było markotno, jeszcze tam mają wydzielić coś niecoś. I jak to tera ciebie lubieją! Rany boskie! Jagusia u nich piersze oczko w głowie!

Janowa wyjęła z trudem list zmięty z dna koszyka, który miała na ręku zawieszony i napełniony prowiantami i pośpieszyła z nimi do starszej pani, jak zwykle zwała p. Karnicką.

Jagusia chwyciła list w drżące dłonie i poskoczyła do pokoju, prosząc, aby go przeczytano.

Ida chętnie spełniła jej prośbę i rozpoczęła na głos: „W pierwszych słowach mojego listu“. Dalej opisywał Władek szczegółowo ostatnie chwile wujka i „jako na sercu mu snać tak zelżało“, że sam namawiał, żeby nie kogo innego, jeno Agnieszkę Walczakównę, córkę Piotra, wzion za żonę. Dużo było słów serdecznych i prostych, któremi Władek wyrażał swe „szczyre“ kochanie i prosił na wszystko, aby jak najprędzej powracała

z Janową „bez to, że smutno strasznie przez miłowanej dziewczyny“.

Ida złożyła list i rzekła z żalem:

— Więc już nas opuścisz, Jagusiu?

— A tak, proszę paniusi, muszę powracać, jeśli już takie zarządzenie Boże przyszło. I paniusi tera weselej od kiela nas pan je w domu, a ja jesce się tak dobrze nie poducyłam gotowania, to i lepiej może będzie, jak wezmą państwo porządną kucharkę, co się zna na wszystkiem.

— Będę cię zawsze dobrze wspominała, moja Jagusiu, bo nauczyłam się od ciebie dużo dla mnie nowego.

— Pani sobie żartuje ze mnie, a ja to doprawdy za panią będę długo tęskniła...

— Rozpoczniesz nowe życie i daj ci Boże być tak szczęśliwą, jak ja nią jestem teraz. Snać twoja święta Tereska wysłuchała twojej prośby o naszą zgodę Jagusiu — dodała z miłym uśmiechem.

— A niechże paniusia zawżdy się do niej modli, bo ona wielgie łaski ma u Boga i jeno zechce, rzuci ludziom z nieba róże...

— Dobrze, dobrze jagódko, nauczyłaś mnie modlić się sercem nie słowami i niezmiernie ci jestem za to wdzięczną, bo zdaje mi się, że zrobiłam się nieco lepszą, niż byłam dawniej.

Konstanty wszedł ukradkiem i wysłuchał rozmowy. Na wyrazistej jego twarzy odmalowało się wzruszenie. Objął Idę ramieniem i rzekł miękko:

— Tak, Dola, jesteś rozbrajająco dobrą i bardzo, bardzo kochaną.

A dostając pugilares, szepnął do żony:

— Musimy Jagusi dać na nowe gospodarstwo pewną sumkę. Weź proszę cię ile uważasz za stosowne...

— Nie potrza mi nic dawać, moje państwo najmilsze, jeno będę mieć wielgą prośbę do paniusi: żeby do tej matki Frankowej dowiedziała się kiedybądź, bo nikogo nie ma, coby myślał o niej, a nieszczęście rozum jej pomieszało. Pan Bóg paniusi za dobry uczynek wynadgrodzi. Kto wie? Może Szymonowej pamięć powróci i będzie taka samiusieńka na świecie... Bardzo proszę łaski pani mieć oko, żeby się tam kobiecinie krzywda nie działa. A oto wraca Janowa, ona wsyćko opowie i adres poda. Ja tymczasem zabiorę swoje rzeczy bo i pewno dziś wieczorem jechać trza na kolej.

Ucałowała gorąco rękę Idy i poczęła krzątać się po kuchni tłumiąc łzy.

KONIEC.

Książki opowieściowe	Zł. gr.
Tajemnica spowiedzi	2.—
Z tajemnic masonerji	1.—
W obcy świat	—.10
Dwór i Chata	2.90
Ciernistym szlakiem	—.55
Obrazki z powstania	—.20
Tunka	1.—
Złowrogi przybysz	1.50
Wiara i Miłość	1.25
Bajka o głupim Marcinie	—.20
Niewidoma	—.80
Judyta	—.50
Wójtówna	1.50
Książki misyjne	
Podróż misyjna	3.—
W pętach guślarzy	2.45
Książki treści różnej	
Śluby cywilne	—.10
Czy umiesz się spowiadać?	—.20
Gawędy Misjonarza	2.50
Historja i Technika Hafciarstwa Kościelnego	25.—
Droga do szczęścia	—.40
Czcij Ojca Twego i Matkę Twoją . . .	—.15
Czem dla nas Henryk Sienkiewicz . .	—.20
Kapłan w dziejach świata	—.40

Wyżej wymienione książki nabyć można także w Księgarni Przeglądu Katolickiego, Krak.-Przedmieście 71 oraz we wszystkich Księgarniach w Polsce.